Rok II. Grudzień 1917. Nr. 12.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata roczna 18 kor., za półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. (Czek P. K. O. 139.429.), gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.

Grudzień 1917. **ROK POLSKI** Rok II. Nr. 12.

Wschodnie niebezpieczeństwo.

W czwartym roku wojny nowe groźby wiszą nad naszem życiem. Do rozbicia politycznego mają się pod wpływem haseł, idących ze wschodu, dołączyć społeczne waśnie i walki. W Rosyi szerzy się anarchia, która czasami przybiera postać programu społecznego. Zorganizowany bandytyzm, panujący wbrew woli ogromnej większości narodu rosyjskiego, oparty na gwałtach, rabunkach i okrucieństwach, czyli t. zw. bolszewizm, chce i reszcie Europy narzucić swój program. Coprawda nawet dla najbardziej radykalnych żywiołów zachodnio-europejskich te hasła i metody, idące z Rosyi, nie przedstawiają się w ponętnej postaci, ale u nas mogą się znaleść żywioły, które zechcą wypłynąć na wierzch na tym programie. Stosunki okupacyjne zrobiły swoje. Nadzwyczaj ciężka sytuacya ekonomiczna zaostrzyła społeczną nieufność i zawiść. Czynniki obce umiały postępować w myśl hasła: *divide et impera*. Potrafiły sobie w części pozyskać niektóre nieliczne warstwy społeczne, co może być podatnym gruntem dla demagogicznej walki. Słowem, wkraczamy w bardzo ciężkie czasy, w których na wszystkich ciąży ogromna odpowiedzialność. Zarówno na tych, którzy mają pozory lub surogaty władzy, lub którzy czynnie zajmują się sprawami politycznemi, jak i na tych, których nic nie jest w stanie wytrącić z koła ich codziennych życiowych zabiegów i ożywić ich działania szerszą myślą narodową.

Musimy się bronić przed wszelkimi objawami bolszewizmu. Nie wyobrażajmy sobie tylko, że te hasła idą wyłącznie ze wschodu. Są czynniki, które i na zachód od nas je podnoszą. Hasła te nie są czemś materyalnem, przed czem możnaby się zabarykadować linią rowów strzeleckich i kordonem wojskowym. Atmosfera, przy-

jazna dla wzrostu tego bakcyla, więcej znaczy, niż bandy agitatorów, których potrafi przepędzić społeczeństwo zwarte na wewnątrz. Jeżeli chcemy znaleść siłę do walki z anarchią, musimy ją znaleść w sobie samych, musimy uodpornić przeciw niej wszystkich, a nie możemy w sposób sztuczny oddzielić się od niej, bo te próby na nic się nie zdadzą.

Strach jest złym doradcą w ogólności, a już w polityce doradcą najgorszym. Przedewszystkiem ma wielkie oczy, każe widzieć niebezpieczeństwo tam, gdzie go niema, przesadzać jego rozmiary. Człowiek, działający pod wpływem strachu, gotów jest strzelać do urojonych widm, a trafić w zupełnie niewi..ne ofiary. Trzeba się na chłodno zastanowić, jaką bronią należy się posługiwać. Są zabiegi ochronne, które mogą tylko pogłębić antagonizmy społeczne, a tem samem zwiększyć niebezpieczeństwo anarchii.

Otóż najpierw niebezpiecznem jest, jeżeli się w sposób sztuczny, drogą narzuconą, chce dojść do władzy i tę władzę utrzymać, nie dbając o zaufanie narodu i w tej władzy widzi się już dostateczną gwarancyę przeciw wszelkim przewrotom społecznym. Rządy nielicznej grupy ludzi wywołują, jako reakcyę, rządy motłochu. Zdrowe życie narodowe nie zna ani jednego, ani drugiego rodzaju rządów. Jeżeli chcemy naprawdę budować państwo polskie, musimy budować je zgodnie z uczuciami i przekonaniami ogółu narodu. A gdy tymczasem w jego imieniu lub imieniu jego części próbują występować ludzie, którzy do tego mandatu nie mają, to w takim razie wdzięczne pole popisu znajduje wroga im agitacya. Agitacya ta ich kroki polityczne zechce tłómaczyć obawami i tendencyami natury społecznej. Antagonizmowi politycznemu, który już istnieje w społeczeństwie, zechce ta agitacya nadać charakter klasowy, widzieć w nim przeciwieństwo między interesem warstw posiadających a interesem „wydziedziczonych". Nieraz już byliśmy świadkami tego, że żywioły skrajne usiłowały z różnych wydarzeń politycznych zrobić wodę na młyn swojej społecznej propagandy. Błędnie postępuje, kto w sposób niezręczny dostarcza do tego materyału, kto przez nadmierną gorliwość, z zapałem politycznych neofitów, wypowiada się wbrew pragnieniom i zapatrywaniom ogółu narodu. Wtedy zamiast gasić pożar społeczny, mimowoli go podniecą.

Siły odpornej przeciw niebezpiecznej propagandzie musimy szukać u siebie. Trudno tu oglądać się na pomoc obcych. Po-

mijając już wszelkie względy zasadnicze, które nie powinny dopuszczać do tego, by obca siła była rozjemcą w naszych sporach i strażnikiem wewnętrznej równowagi, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że stan taki, jaki jest dzisiaj, tylko pomnaża groźby zatargów społecznych. Znaczna część narodu żyje obecnie pod rządami okupacyjnymi, a na reszcie ziem polskich są stosunki, podobne do okupacyi. Te stosunki są niemal dla wszystkich bardzo ciężkie, ale tem łatwiej znosi się niedolę, im solidarniej się ją znosi. Gdy ona wszystkim na równi daje się we znaki, to wszyscy czują się jedną całością i razem się bronią. Wtedy nawet, w tych ciężkich warunkach, może potęgować się poczucie solidarności narodowej. Ale niechaj tylko okupacya stanie się czemś, co jest chętnie widzianem przez pewną część społeczeństwa, wtedy już obficie zacznie się sączyć jad społecznej zawiści. Żywioły nie dość uświadomione zaczną swych rodaków winić o to, że ta okupacya trwa, zaczną na nich zrzucać odpowiedzialność za wszelkie jej uciążliwości. Ostatecznie kiedyś ustąpi okupacya i co zostawi po sobie? Zaostrzone stosunki społeczne, wzajemną nieufność, z której straszną broń mogą wykuć niesumienni agitatorzy.

Obawa przed rozszerzeniem się ruchu bolszewickiego skłania u nas niektórych ludzi do tego, by widzieć w jak najszybszem stworzeniu armii zabezpieczenie przeciw temu ruchowi. Niewątpliwie, w normalnych warunkach, gdy będziemy mogli mieć naprawdę własną armię, ta armia musi stać na straży prawa, w ostateczności bronić tego prawa i na wewnątrz. Ale dziś jest rzeczą bardzo niebezpieczną, by tak skomplikowaną sprawę wojska polskiego komplikować jeszcze bardziej przez to, że się wysuwa na plan pierwszy jego funkcya społeczno-policyjna. Sprawa wojskowa w Królestwle Polskiem jest niezbyt popularną, można powiedzieć jest niepopularną. Przymusowy pobór już dzisiaj napotkałby na wielkie trudności. A cóż dopiero mówić o poborze, dokonywanym na tle zaogniającej się walki społecznej. Wtedy można się spodziewać rzeczy najgorszych. Społeczeństwo nasze szybko przystąpi do organizacyi wojska, gdy będzie mogło tem wojskiem zupełnie swobodnie rozporządzać, gdy wyłącznie polskiem będzie dowództwo, gdy to wojsko będzie utrzymywane dla polskich celów za polskie pieniądze. Dopóki trwają dzisiejsze stosunki, dopóki nie ma gwarancyi, że wojsko zostanie użytem dla naszych celów, dopóty nie ma mowy o tem, by sprawa wojskowa wejść

miała w stadyum pomyślne. W każdym razie dzisiaj o powołaniu do wojska nie można rozstrzygać bez udziału tych, których się chce powołać. O tych sprawach rozstrzygać może tylko Sejm Królestwa Kongresowego, reprezentujący naprawdę opinię jego ludności. Nie trzeba dla walki z niebezpieczeństwem bolszewickiem stosować metod, pokrewnych bolszewizmowi. Przecież to bolszewicy obowiają się zwołania konstytuanty i nie chcą jej oddać decyzyi o losach narodu.

A więc w czem należy szukać oparcia przed niebezpieczeństwem anarchii, które idzie ze wschodu? Przedewszystkiem we własnym narodzie. Tylko wtedy, gdy zdołamy odbudować życie polityczne, oparte o współdziałanie wszystkich warstw ludności, gdy wokół naczelnej idei zdołamy zorganizować czynne siły narodu, tylko wtedy spokojnie przetrzymamy zbliżające się burze. Pamiętajmy o tem, że najważniejszą dla nas rzeczą jest uzyskanie niepodległości i zjednoczenia. Otóż w obecnem stadyum wojny nasza opinia i nasze dążenia znaczą coraz więcej. Wszystkie państwa wojujące zważają na to, w jakim kierunku się wypowiadamy. Pomyślne rozstrzygnięcie naszych pragnień uzyskamy tylko wtedy, gdy wykażemy wielką jedność w ich wyrażeniu i ich obronie. Obecnie też coraz więcej znaczy głos warstw najszerszych. Być może, że dojdzie do formalnego wyrazu ich woli. Otóż trzeba, by sprawa niepodległości Polski była tym wspólnym łącznikiem, który całemu narodowi nadaje jedność i jednomyślnie wyraża jego pragnienia. Są ludzie, którzy się z obawą patrzą na dopuszczenie do głosu warstw najszerszych. W każdym razie należy na to być przygotowanym. Należy mieć program, który skupi wszystkich, przeciw któremu nikt wystąpić nie będzie się ważył. Otóż idea czystej, bezwarunkowej niepodległości, jest tym gruntem wspólnym, na którym mogą dojść do porozumienia wszystkie warstwy społeczne. Jeżeli się natomiast zechce tę ideę połączyć z pewnemi kombinacyami polityczno-dynastycznemi, to te dążenia mogą wywołać tylko rozdwojenie w życiu narodowem. One dopiero otworzą drogę dla propagandy bolszewickiej. Wtedy nic łatwiejszego, jak zabarwić program przeciwny pewnemi tendencyami społecznemi, jak nazwać jego zwolenników obrońcami feudalnych przywilejów i na wschód zwrócić pragnienia wielu niepewnych żywiołów. Jeżeli chcemy się ostać, nie wolno nam patrzeć ani na wschód ani na zachód. Musimy w sobie samych szukać

podstaw dla budowy państwa polskiego. Błędnem jest mniemanie, że związanie się z jakiemś państwem obcem, przez ścisłą organizacyę zabezpieczonem przed wszelkiemi próbami anarchii, nas przed tem wszystkiem zabezpieczy. Nie można bezwzględnie przenosić z jednego miejsca na drugie instytucyi i metod rządzenia, bo one nie na każdym gruncie się przyjmą. Zwłaszcza, że ten import nie zawsze odbywa się dobrowolnie. W obecnej chwili, w której do końca wojny jeszcze daleko, w której jednak krystalizują się cele wojenne, potrzeba nam więcej, niż kiedykolwiek zwartości i solidarności. A tej solidarności nie zbuduje się patryotycznymi frazesami lub zbyt gorliwymi dyplomatycznymi zabiegami. Solidarność tę trzeba budować od podstaw, przez szerzenie idei niepodległości i zjednoczenia Polski w postaci, która nie budzi podejrzeń wśród warstw najszerszych, która nie wywołuje wśród nich obaw, że ich los może być rozstrzygniętym bez ich współudziału. A więc dziś bardziej niż kiedykolwiek trzeba głosić ideę niepodległości bez żadnych dodatków. Zarówno z powodów zasadniczych, które nie pozwalają na przedwczesne likwidowanie sprawy polskiej, jak i z powodów społecznej natury, gdyż tylko taka idea nie wniesie do narodu rozdwojenia i niezgody.

Wobec doniosłości politycznych celów muszą ustąpić na dalszy plan problemy społeczne. Będziemy je w stanie rozwiązać dopiero wtedy, gdy zyskamy możność pełnego stanowienia o sobie. Dzisiaj walka społeczna nie prowadzi do celu, a jest tylko źródłem rozkładu. Bez utrwalenia bytu politycznego Zjednoczonej Polski niema mowy o tem, byśmy mogli przeprowadzić jakiekolwiek reformy społeczne. Nie znaczy to, że nie mamy się przygotowywać do ich rozwiązania już teraz. Przedewszystkiem jednak musimy dokonywać tego bez udziału obcych. A wzorów ze wschodu nie potrzebujemy szukać. Jesteśmy wybitnie zachodnim narodem, z kulturą i tradycyami zachodu, nie przemówią do nas tępe hasła bolszewickie, które oznaczają tylko reakcyę społeczną. Jak wielka nas przedziela różnica od wschodu, tego najlepszym przykładem jest fakt, że żołnierze-Polacy, służący w wojsku rosyjskiem, z małymi wyjątkami nie dali się porwać anarchii bolszewickiej, lecz grupują się w zwartą całość pod wodzą jen. Dowbór-Muśnickiego. To wojsko polskie, — a jest ono polskiem naprawdę, bo nie słucha obcej władzy — nie zna Rad robotniczo-żołnierskich i innych podobnych urządzeń. Budzi ufność naszą odporność chłopa

i robotnika polskiego, rozprószonego w morzu rosyjskiej anarchii, który zamiast dać się porwać powodzi rewolucyjnych haseł, stoi twardo przy programie zjednoczonej Polski z własnym dostępem do morza. Jeżeli więc w tak trudnych warunkach udaje się ratować polskie ideały, to możemy patrzeć optymistyczniej na obrót wypadków w kraju. Ale to pod jednym warunkiem: jeżeli potrafimy pójść za przykładem naszych rodaków na wschodzie i zorganizować szersze masy dla życia politycznego, a nie będziemy się tulili trwożliwie pod obce skrzydła.

Przygodny.

Kobiety w naukach ścisłych[1]).

Człowiek starej daty, któryby się znalazł na dzisiejszem zebraniu, zadziwiłby się nie mało już samym doborem tematu, o którym mam mówić: Kobiety w naukach ścisłych? Wszak aż do ostatnich czasów temi naukami się wogóle nigdy nie zajmowały, i przyczynek kobiet do rozwoju nauk ścisłych jest znikomo mały!

Na tem istotnie też opierał się jeden z głównych argumentów, mających uzasadnić rzekomą niższość intelektualną kobiet. Nie zajmują się matematyką, ani fizyką, ani chemią — bo nie są zdolne do tego, bo wogóle nie potrafią myśleć logicznie! Sztuka, literatura jeszcze są dla nich przystępne, ale nauki wymagające przed wszystkiemi innemi matematycznej ścisłości myślenia i chlubiące się mianem nauk ścisłych, te nauki zawsze pozostaną im obce.

Dziś zapatrywania ogółu na tę sprawę już znacznie się zmieniły. Dogmat o zasadniczej nielogiczności umysłu kobiecego przeszedł do składu starych przesądów. Zapewne, że dużo jest i takich kobiet, które mówią — podług Sienkiewicza — że dwa i dwa to jest lampa, ale odkąd szkoły średnie, a częściowo i wyższe, otworzono kobietom, odkąd wogóle poziom wykształcenia ich zbliżył się do poziomu wykształcenia męskiego, spostrzeżono ze zdziwieniem, że kobiety potrafią całkiem dobrze myśleć, jeżeli przeszły odpowiednie wyszkolenie i — jeżeli do tego mają ochotę.

Absolwentki gimnazyów naszych nie gorzej i nie lepiej znają się na sinusach, cosinusach, logarytmach jak chłopcy, a również na uniwersytecie słuchają wykładów matematyki wyższej, fizyki,

---

[1]) Odczyt ś. p. prof. M. Smoluchowskiego, wygłoszony w r. 1912 w Związku naukowo-literackim we Lwowie, dotychczas nigdzie nie publikowany.

chemii z równym skutkiem. Profesorowie, którzy pod tym względem nabrali doświadczenia, twierdzą, że studentki nawet może **przewyższają** studentów w bystrości pojmowania, sumiennej pilności, oraz w łatwości przyswojenia sobie materyału — jakkolwiek pod innym względem, co do **samodzielności myślenia** mężczyzni stoją wyżej.

W Anglii i Ameryce od znacznie dłuższego już czasu niż u nas studyum uniwersyteckie jest dostępne dla kobiet; początek zrobiły Queen's College i Bedford College, należące do Uniwersytetu w Londynie, które już od roku 1848 dają im wyższe wykształcenie; tam też liczba kobiet, które złożyły egzamina uniwersyteckie, które zdobyły stopnie naukowe, bakalaureaty, doktoraty w dziedzinie nauk ścisłych, jest **olbrzymia**. W Ameryce kobiety jako nauczycielki w szkołach niższych i średnich zajmują miejsce pierwszorzędne, nawet wypierają coraz bardziej mężczyzn i nie dziwimy się temu, wszak wiemy, że posiadają wogóle zamiłowanie i zdolność do pracy pedagogicznej, a zrozumienie dla nauki mają takie same, jak mężczyzni. Ale spotykamy się tam z coraz bardziej rosnącą liczbą kobiet profesorów, wykładających matematykę, fizykę, chemię i nauki opisowo przyrodnicze na **stopniu uniwersyteckim**. Słynny uniwersytet Cambridge, ognisko nauk ścisłych w Anglii, obejmuje w liczbie 17 kolegiów także dwa kolegia wyłącznie dla kobiet przeznaczone, Girton College i Newnham College, w których cały personal nauczycielski jest kobiecy. W Stanach Zjednoczonych istnieją dwa uniwersytety dla kobiet: Bryn Mawe College w Pensylwanii i Wellesby College w Massachussetts. Pierwszy posiada personal mieszany; tam n. p. profesorami fizyki i chemii są mężczyzni, podczas gdy katedrę matematyki wyższej zajmuje od przeszło 20 lat panna Charlotte Scott, podobno matematyczka niepośledniej miary. W drugim wszystkie profesury są zajęte przez kobiety.

Nie ulega zatem żadnej wątpliwości i każdy to dzisiaj przyznać musi, że między kobietami znajduje się spora liczba — może nie mniej niż między mężczyznami — takich, które potrafią nabyć gruntowne wyszkolenie w zakresie nauk ścisłych, które są zdolne objąć cały obszar i całą głębię tych nauk.

Są one zdolne do nauczenia się, a także zdolne do uczenia innych — ale jeszcze kwestya się nasuwa, i nią głównie dzisiaj się zajmiemy: czy są one zdolne do **samodzielnej twórczej**

p r a c y n a u k o w e j w tym zakresie i czy dorównują one mężczyznom w produktywności naukowej?

Pod tym ostatnim względem niewątpliwie sprawa przedstawia się całkiem odmiennie. Do tego stosują się słowa na wstępie powiedziane, że aż do bardzo niedawna zasługi kobiet koło postępu nauk ścisłych były prawie równe zeru. A nawet i dzisiaj produktywność naukowa kobiet — z wyjątkiem jednej, o której jeszcze dalej będzie mowa — w zakresie tych nauk jest: *une quantité négligeable*, pomimo że twórczość ich w literaturze, sztuce, poezyi tak zaszczytne, często pierwszorzędne zajmuje miejsce.

Z pewnością możnaby przytoczyć sporo nazwisk kobiet uczonych, które stworzyły prace o pewnej wartości naukowej. Niedawno np. zwrócono uwagę na badania pewnej Angielki, Mrs. Fulhame, z zakresu chemii, wydane w Londynie 1794 r., w której autorka podała różne ciekawe spostrzeżenia nad tem, co dzisiaj nazywamy roztworami koloidalnymi złota i srebra.

Z dzisiejszych czasów wymienię Angielkę Mrs. Sidgwick siostrę byłego premiera ministrów Balfoura i wdowę po profesorze H. Sidgwick, stojącą dzisiaj na czele Newnham College w Cambridge, która w latach 1880—84 udział brała w nadzwyczajnie starannych, precyzyjnych pracach doświadczalnych słynnego fizyka Lorda Rayleigh'a nad ustaleniem jednostek elektrycznych. Wymienić wypada dalej Angielkę Mrs. Hertha Ayrton, żonę profesora elektrotechniki Ayrtona w Londynie, która wykonała ciekawe badania nad łukiem elektrycznym, ogłosiła dzieło naukowe o tym samym przedmiocie, w roku 1902 nawet była proponowaną na członka Royal Society w Londynie, jednak ze względów formalnych, t. j. z powodu, że jest kobietą, nie została wybraną. Możnaby wymienić Niemkę Agnes Pockels, Amerykankę Miss Benson, Holenderkę Van der Noot, które wykonywały badania eksperymentalne z dziedziny zjawisk włoskowatości, Niemkę Lise Meitner, pracującą na polu promieniotwórczości, a zapewne jeszcze niejedno inne nazwisko możnaby dorzucić z zakresu matematyki, chemii lub astronomii.

Przyznać trzeba jednak, że nazwiska te utkwiły nam w pamięci w ł a ś n i e t y l k o d l a t e g o, ż e b y ł y t o k o b i e t y, sam zaś przyczynek naukowy od nich pochodzący, jest tak drobny, że ginie w powodzi prac równie ważnych lub bez porównania ważniejszych, jakie inni uczeni wykonali i wykonują.

Zresztą ażeby nie polegać wyłącznie na własnym sądzie subjektywnym, biorę do ręki Auerbacha *Geschichtstafeln der Physik*, zawierające wyliczenie wszystkich ważniejszych odkryć i badań na polu fizyki oraz nauk pokrewnych — i żadnego z owych nazwisk tam nie znajduję. Wogóle pośród przeszło 1300 nazwisk tam wymienionych spotykamy tylko trzy nazwiska kobiet; sądzę, że istotnie jedynie te trzy nazwiska mają znaczenie więcej niż efemeryczne w historyi nauk ścisłych, i niemi wypada nam obecnie zająć się nieco więcej szczegółowo, jeżeli pragniemy sobie wyrobić zdanie o istotnych zasługach uczonych kobiet.

Są to: mademoiselle Sophie Germain, Zofia Kowalewska i Marya ze Skłodowskich Curie. Mademoiselle Sophie Germain jest znana we fizyce teoretycznej jako autorka słynnej pracy o drganiach płyt sprężystych, która co prawda później okazała się błędną, ale mimo to posiadała pewne znaczenie dla postępu nauki. Ażeby przedmiot tych badań nieco bliżej objaśnić, pozwolę sobie przypomnieć owe bardzo efektowne doświadczenia, w których płyty sprężyste, np. okrągłe albo kwadratowe kawały grubej blachy mosiężnej, przymocowane na odpowiednim statywie, zostają pobudzone do drgań poprzecznych, np. zapomocą pociągnięcia smyczka skrzypcowego w jednym punkcie brzegu. Jeżeli na taką płytę nasypiemy nieco miałkiego piasku, wówczas owe drgania układają go w ładne regularne figury, których kształt zależy od kształtu płyty, oraz od sposobu, jak została pobudzona do drgań.

Odkrył to zjawisko Chladni pod koniec XVIII. wieku; podług niego nazwano je *„Chladni'sche Klangfiguren“* i doświadczenia te, spopularyzowane przez dzieła Chladniego 1802 r. i przez jego wykłady publiczne, szerokiego wówczas nabyły rozgłosu w Niemczech i Francyi.

Na życzenie Napoleona, którego zajęły owe doświadczenia, Akademia Francuska rozpisała w roku 1809 nagrodę za pracę, któraby te zjawiska teoretycznie wyjaśniła. Chodziło tu zatem o rozwiązanie problemu matematycznego: jak drgania takiej płyty się odbywają, a było to tem trudniejsze, że ogólna, matematyczna teorya zjawisk sprężystości wówczas jeszcze nie była znana. W roku 1811 panna S. Germain nadesłała pracę Akademii, słynny matematyk Lagrange jednak, który zasiadał w Komisyi osądzającej, odkrył błąd w rachunkach. W poprawionej formie praca znów

została przedstawiona Akademii i w roku 1815 nagroda owa została przyznana autorce, która i w dalszym ciągu jeszcze swe badania nad tym samym przedmiotem uzupełniała.

Wiemy dzisiaj, jak wspomniałem, że część wyników owych prac, także poprawionej, była błędna. W tego rodzaju zagadnieniach chodzi mianowicie o wyprowadzenie tak zwanego równania różniczkowego, które określa zachowanie się punktów powierzchni płyty, a po drugie o wyprowadzenie t. zw. warunków krańcowych, które określają sposób, jak brzegi płyty podczas ruchu się zachowują. Pierwsze równanie było poprawne, ale warunki krańcowe były błędne i wskutek tego też sam rezultat końcowy fałszywy,

Zresztą jest to przedmiot najeżony niezwykłymi trudnościami wszak i znany matematyk Poisson, powracając do tego samego problemu w roku 1829, podał inne warunki krańcowe, niż panna Germain, ale również błędne. Dopiero Kirchhoff w r. 1850 znalazł właściwe, do owego przypadku się stosujące warunki krańcowe i podał zupełne rozwiązanie zagadnienia dla płyt okrągłych, ale odpowiedni rachunek dla płyt kwadratowych takie przedstawia trudności, że po licznych usiłowaniach ze strony różnych fizyków i matematyków dopiero przed trzema laty (1909) rozwiązanie jego zostało znalezione. Dokonał tego niezwykle utalentowany, w wieku młodocianym, trzydziestu lat, zmarły fizyk szwajcarski Walter Ritz, któremu przyznana została za to nagroda Akademii Francuskiej *Prix Lecomte* — niestety już po śmierci.

Powracając do pracy panny Zofii Germain, przyznać trzeba, że był to czyn naukowy, wybitny na owe czasy, i jako taki też mimo późniejszej krytyki zachowuje miejsce zaszczytne w historyi fizyki matematycznej. Co do osobistości autorki, nie wiele podać potrafię szczegółów interesujących, gdyż życie jej nie odznaczało się barwnością wypadków — w jaskrawem przeciwieństwie do epoki, na którą przypadało: 1776 aż do 1831. Znakomity lexykon biograficzny nauk ścisłych Poggendorffa powiada lakonicznie: „*Keine nähere Nachricht von ihren Lebensverhältnissen; war unverheiratet*“, natomiast w *Biographie Universelle Michaud* znajdujemy życiorys szczegółowy, napisany z dużem ciepłem. Zdaje się, że to nie przypadkowa tylko koincydencya, że właśnie na burzę rewolucyi francuskiej przypada pojawienie się osobistości tak niezwykłej, jak panna Germain.

Nie dążyła ona jednak śladem owych kobiet, które na równi z mężczyznami walczyły na barykadach. Przeciwnie, przerażał ją cały ten zgiełk wojny domowej, w której i jej rodzina pewien bezpośredni brała udział, gdyż ojciec jej był członkiem *de l'assemblée constituante*. Za ideał jako dziecko 13-letnie obrało sobie Archimedesa, który zadumany w swych geometrycznych poszukiwaniach, nie zauważył wcale, jak nieprzyjaciel zajął miasto oblężone i wtargnął do jego domu. Odtąd mimo oporu rodziców poświęciła się studyowaniu dzieł matematycznych, kształcąc się jako samouk, często nawet potajemnie spędzając noce nad książką.

Słynny matematyk Lagrange poznał się na jej zdolnościach, gdy później pod przybranym nazwiskiem, podając się za ucznia szkoły politechnicznej, jemu przesłała swe wypracowania matematyczne. Dowiedziawszy się przypadkowo, kto był ich autorem, odwiedził pannę Germain; odtąd zapoznawali się z nią i schadzali się w jej domu wybitni uczeni, pociągani osobistością uczonej matematyczki i jej darem konwersacyi; biograf powiada, że rozmowa jej posiadała elegancyę pięknego wzoru matematycznego Laplacea, a często nawet odznaczała się natchnieniem poetycznem. Ubóstwiała ona przedewszystkiem harmonię i porządek; badała prawidła matematyki, podziwiała wieczny porządek w prawach przyrody, pragnęła porządku, harmonii i sprawiedliwości w urządzeniach społecznych.

Ale nawet nie znając wcale żadnych bliższych szczegółów biograficznych i sądząc jedynie podług działalności naukowej panny Germain, odrazu poznajemy, że trzeba ją zaliczyć do typów umysłowych, które Ostwald nazywa „klasykami", w przeciwstawieniu do „romantyków".

Czyż to nie jest charakterystyczne, że w ciągu 17 lat wciąż tem samem dość zresztą specyalnem zagadnieniem się zajmowała, że napisała pięć prac nad tym przedmiotem, stopniowo poprawiając i uzupełniając swoje badania, że żadną inną wybitniejszą pracą się nie wsławiła. Świadczy to chyba o skłonności do ciągłych, cierpliwych i starannych usiłowań w jednym kierunku, jakiej niejeden mężczyzna by mógł pozazdrościć.

Całkiem odmiennym typem umysłowym była druga uczona, przedtem wymieniona: Zofia Kowalewska, a umysłowość, objawiająca się w nauce, łączyła się ściśle też z usposobieniem, jakie znamy z biografii, listów i pamiętników.

Charakter niestały, zmienny w sympatyach i antypatyach, działający impulsywnie, często wprost nierozsądnie, bez zastanowienia, usposobienie, wahające się między ekstazą i przygnębieniem, umysł nadzwyczajnie ruchliwy, garnący się z zapałem niesłychanym do wszystkiego, co zajmujące i porywające, do nauki, literatury, socyalizmu, prądów wolnościowych. A w badaniach naukowych: czyż to nie uderzające, że prace, które ogłosiła — w liczbie sześciu — odnoszą się do p i ę c i u najzupełniej różnych, odrębnych przedmiotów.

Pierwsza z nich, rozprawa doktorska, dotyczyła teoryi cząstkowych równań różniczkowych, w drugiej autorka opracowywała pewne zagadnienia z nadzwyczajnie trudnej i nieprzystępnej dziedziny matematyki t. zw. całek Abel'a; trzecia rozprawa odnosiła się do przedmiotu z zakresu fizyki teoretycznej: załamania światła w ośrodkach krystalicznych, czwarta do badań Laplacea nad obręczami Saturna, a wreszcie piąta i szósta praca do pewnego klasycznego zagadnienia z dziedziny mechaniki, do ruchu obrotowego ciała sztywnego. Te ostatnie dwie prace imię Kowalewskiej najwięcej wsławiły i za nie z o s t a ł a o n a n a g r o d z o n ą p r z e z A k a d e m i ę F r a n c u s k ą p r z y z n a n i e m n a g r o d y P r i x B o r d i n (1888).

Ażeby choć kilku słowami wyjaśnić, co jest przedmiotem tego zagadnienia, pozwolę sobie przypomnieć zabawkę dziecinną: bąk wirujący. Jeżeli bąk taki, nie wprowadzając go w ruch obrotowy, postawimy na stole tak, ażeby koniec osi jego utkwił w małem wydrążeniu, bąk mimo to się przewróci pod działaniem ciężkości. Jeżeli mu jednak nadajemy ruch obrotowy, bąk zachowuje się całkiem odmiennie, nie wywraca się pod wpływem ciężkości, tylko tak się porusza, że oś jego opisuje rodzaj stożka na około pionu. Otóż ruch ten da się obliczyć z całą ścisłością na podstawie zasad mechaniki; można najdokładniej przewidzieć, jakie kolejne pozycye oś będzie zajmować, z jaką prędkością będzie zmieniać swój kierunek i t. d. To zagadnienie już Lagrange rozwiązał pod koniec wieku ośmnastego. Natomiast mimo licznych wysiłków nie udało się matematykom rozwiązać zadania ogólnego, t. j. przypadku, gdzie kształt ciała obracającego się nie posiada symetryi obrotowej jak bąk, tylko jest dowolny, i gdzie stały punkt, koło którego obrót się odbywa, ma pozycyę dowolną. Otóż Kowalewskiej udało się znaleść jeszcze jeden specyalny przy-

padek, w którym to obliczenie daje się wykonać; w ostatnich latach matematycy, pobudzeni do dalszych badań przez pracę Kowalewskiej, nawet udowodnili, że są to wogóle jedyne przypadki, w których rachunek może być w ten sposób wykonany.

Jak dalece współcześni uczeni cenili talent Kowalewskiej, o tem świadczy n. p. nekrolog, napisany w *„Neues Journal für Mathematik“*, przez słynnego niemieckiego matematyka prof. Kronecker'a, w którym między innemi powiedział: *„Sie verband mit einem ausserordentlichen Talent, sowohl für allgemeine mathematische Speculation, als auch für die bei der Ausführung spezieller Untersuchungen notwendige Technik, gewissenhaften und unermüdlichen Fleiss; hielt bei intensivster Fachtätigkeit stets ihren Sinn für andere geistige Interessen offen; bewahrte dabei immer ihre Weiblichkeit und erwarb und erhielt sich darum im Verkehr auch die Sympathien derjenigen, die ausserhalb ihres fachwissenschaftlichen Kreises standen. Die Geschichte der Mathematik wird von ihr als eine der merkwürdigsten Erscheinungen unter den überhaupt äusserst seltenen Forscherinnen zu berichten wissen. Ihr Gedächtnis wird durch die zwar nicht zahlreichen, aber wertvollen Arbeiten, welche sie veröffentlicht hat, in der ganzen mathematischen Welt fortdauern“*.

W przeciwieństwie do Zofii Germain, umysłowość Zofii Kowalewskiej uwydatnia jaskrawo cechy typu „romantycznego“ (według Ostwalda): ruchliwość, albo raczej burzliwość umysłu, wrażliwość, intenzywność wysiłków krótkotrwałych, to co się zwykle określa słowem „genialność“. Ażeby uniknąć nieporozumienia, zaznaczę jednak wyraźnie, że słowo „romantyczność“ oznacza tu wyłącznie tylko pewne usposobienie intelektualne, a nie romantyczność uczuciową w powszednim tego słowa znaczeniu. Pod tym ostatnim względem przeciwnie, pisma i listy pozostałe dowodzą, że Kowalewska, która wyszła za mąż tylko dlatego, ażeby wydostać się z nieznośnych stosunków domowych i módz się oddać nauce, przez całe życie pragnęła daremnie poznać to, co nazywała „ptakiem niebieskim“ i co zajmuje takie naczelne często miejsce w życiu innych kobiet. Zdaje się, że żywo odczuwała ten brak i że to było jedną z tragedyi jej życia.

Co do tej strony jej życia, powstała nawet pewnego rodzaju polemiczna literatura, dzięki biografom Kowalewskiej, których interesowały zdarzenia jej życia prywatnego stokroć razy więcej niż

jej znaczenie w nauce. Dziwna rzecz, że mężczyzna uczony występuje zawsze jako coś prawie nie osobowego, jako autor pewnych prac naukowych, i wyłącznie według wartości tych prac osądza się jego znaczenie, bez względu na jakiebądź strony życia prywatnego. Gdy zaś chodzi o kobietę uczoną, wszyscy interesują się przedewszystkiem jej życiem prywatnem, które przecież najzupełniej obojętne jest przy ocenie zasług naukowych, a jak łatwo przy tem o rzucanie podejrzeń, właściwie nic do rzeczy nie mających, a przecież krzywdzących w oczach ogółu.

Właśnie dlatego też, że obchodzi nas tu strona naukowa, a nie prywatna życia Kowalewskiej — burzliwego zresztą, jak burzliwym był jej umysł i ciekawego, jak ciekawą była cała ta osobistość — ograniczę się do kilku tylko dat biograficznych.

Była córką generała rosyjskiego Korwina Krukowskiego, urodzona 1851 r. w Moskwie; mając lat 17, wyszła za mąż (na razie tylko pozornie) za prof. paleontologii Kowalewskiego, co umożliwiło jej studyowanie matematyki w Heidelbergu, Berlinie i Getyndze, gdzie 1874 r. złożyła doktorat. Życie rodzinne nie było szczęśliwe; spędzała też dosyć czasu na wyjazdach za granicę i tak w r. 1883 w Paryżu doszła ją wiadomość, że mąż wskutek trudności finansowych popełnił samobójstwo. Wówczas została powołana w r. 1884 jako docentka, a wkrótce jako profesor matematyki na uniwersytet do Sztokholmu i na tym stanowisku rozwinęła właśnie swoją działalność naukową, zbyt krótką niestety, gdyż w r. 1891 nagle zmarła na zapalenie płuc.

Gdyby śmierć nie była tak przedwcześnie położyła kresu jej działalności, niewątpliwie rola Kowalewskiej w dzisiejszej matematyce i fizyce teoretycznej byłaby doniośléjsza. Tak w ciągu siedmiu lat swej profesury dała świadectwa niezwykłego uzdolnienia, przebłyski genialne, ale zawsze są to raczej drobiazgi, nie zdołała stworzyć nowych dziedzin wiedzy, otworzyć nowych dróg postępu badaniom w nauce — do czego prawdopodobnie przed wszystkiemi innemi kobietami była uzdolniona.

Pod względem znaczenia ogólno-naukowego działalność naszej rodaczki pani Curie-Skłodowskiej, do której obecnie przechodzę, jest niewątpliwie w skutki wiele doniośléjsza. Imię to dzisiaj nabyło rozgłosu, jakim żadna inna kobieta uczona się nie cieszyła i niewątpliwie też trwale zostanie zapisane na wybitnem miejscu w historyi fizyki i chemii.

Niestety trudno podać w krótkim czasie choćby pobieżny rzut oka na pole działalności pani Curie-Skłodowskiej, bo są to rzeczy nowe, dziedzina zjawisk całkiem nowych, niezwykłych, a jak kolosalny jest materyał już na tem polu nagromadzony, o tem świadczy chyba objętość najnowszego dzieła pani Curie *„Traité de radioactivité“*, w którem autorka w dwóch tomach, o łącznej objętości blisko 1000 stron, daje lakoniczny, zwięzły opis pracy swej oraz innych uczonych na polu zjawisk promieniotwórczości. Ograniczyć się więc musimy do naznaczenia jedynie rysów zasadniczych.

Co do szczegółów osobistych, wspomnę tylko tyle, że Marya Skłodowska urodziła się w Warszawie w 1867 r., studyowała w mieście rodzinnem, później w Paryżu, pracując na polu chemii i fizyki na Sorbonie; tamże poznała pana Pierre Curie, wówczas już wybitnego, znanego uczonego, który jednak wobec zwartej kliki rządzącej w Paryżu, tylko powoli w swej karyerze postępował. Był wówczas asystentem w Sorbonnie i równocześnie *„Chargé de Cours“*, t. j. docentem płatnym, w miejskiej szkole techniczno-przemysłowej *„Ecole de Physique et Chemie industrielle“*. W roku 1895 został wreszcie profesorem i ożenił się z panną Skłodowską i odtąd małżonkowie po części wspólnie, po części z osobna wykonywali prace doświadczalne w prymitywnem, prowizorycznie urządzonem !aboratoryum owej szkoły.

Wówczas odkrycie promieni Röntgena (1895), o tak cudownych, niespodziewanych właściwościaeh, wstrząsnęło światem naukowym, a w ślad za nim poszło odkrycie (przez francuskiego fizyka Becquerela 1896 r.) promieni wydawanych przez Uran; wydawało się to jeszcze dziwniejszem, bo dla promieni Röntgena przynajmniej wskazać możemy źródło energii — prąd elektryczny, który je wytwarza — natomiast uran i wszystkie związki chemiczne uranu wysyłają s t a l e i t r w a l e owe promienie, nie podlegając pozornie same przez się żadnym zmianom, tak, że początkowo wielką to było zagadką, skąd się bierze energia owych promieni.

Kwestyami temi wówczas żywo roztrząsanemi zajęła się także p. Curie, podjęła naprzód systematyczne studyum doświadczalne promieniotwórczości w różnych substancyach celem wyszukania tych, które to zjawisko wyraźnie wykazują. Osobliwością owych promieni Bequerela jest to, że nie działają one bezpośrednio na oko ludzkie (przynajmniej jeżeli nie są zbyt silne), więc dają się

wykryć tylko drogą pośrednich skutków, które wywołują, t. j. tem, że działają na płytę fotograficzną tak jak i światło, więc można je fotografować, a po drugie tem, że powietrze i wogóle gaz, przez które przechodzą, zamieniają w przewodnik elektryczności. W zwykłych bowiem warunkach powietrze jest doskonałym izolatorem elektryczności, tak że n. p. elektroskop naładowany elektrycznością, jeżeli dobrze jest skonstruowany, może swój nabój zatrzymać miesiącami. W obecności promieni Becquerela jednak powietrze, jak powiadamy, „ionizuje się", staje się przewodnikiem elektryczności; objawia się to opadaniem listków elektroskopu i szybkość, z którą to następuje, będzie (w jednakowych warunkach doświadczenia) miarą natężenia promieni Becquerela, będących źródłem tego przewodnictwa. Otóż z tych dwóch metod Becquerel i inni fizycy używali przedewszystkiem metody fotograficznej, natomiast p. Curie zaczęła używać systematycznie metody elektrycznej, która tę posiada wyższość, że bezpośrednio daje sposób porównania ilościowego, liczbowego promieniotwórczości, podczas gdy metoda fotograficzna daje tylko bardzo grube wskazówki jakościowe.

Otóż pomiary wykonane przez panią Curie dowiodły, że ze znanych wówczas pierwiastków chemicznych jedynie uran i tor (metal odkryty niegdyś przez Berzeliusa), oraz wszystkie związki chemiczne tych pierwiastków posiadają właściwość promieniotwórczości w dostrzegalnym stopniu i tak samo też pomiędzy różnemi minerałami, przynajmniej tym, które były dostępne pani Curie, tylko rudy uranowe i torowe tą właściwością się odznaczają.

Co jednak najdziwniejszem było: pokazało się, że rudy uranowe, n. p. blenda smolna w Joachimstal w Czechach, posiadają promieniotwórczość trzykrotnie wyższą od uranu czystego, który przecież tylko część (dwie trzecie) owej rudy wypełnia.

Nie dało się to inaczej wytłómaczyć jak tylko w ten sposób, że w owej rudzie oprócz Uranu jeszcze inna, dotychczas nieznana substancya promieniotwórcza jest zawarta. Obecnie pani Curie postawiła sobie zadanie, znaleść tę nieznaną substancyę i do badania tego przyłączył się także pan Curie, porzucając dawniejsze swoje poszukiwania z zakresu magnetyzmu.

Jakim sposobem jednak wydzielić tę substancyę, o której nic *a priori* nie było wiadomem, jak tylko to, że jest promieniotwórcza? Metoda była zupełnie oryginalna i logicznie obmyślana.

Przy zwykłej analizie chemicznej rozpuszcza się zazwyczaj dane ciało kwasami, a potem przez dodanie pewnych substancyi, t. zw. reagencyi, wytrąca się z roztworu te substancye, które z owem reagens łączą się w związek nierozpuszczalny. Jakie reagencye strącać będą ową nieznaną substancyę, naturalnie powiedzieć nie można było, więc próbowano każdym razem przy rozdziale substancyi na dwie części, która część była silniej promieniotwórcza. Otóż ruda uranowa zawiera najrozmaitsze pierwiastki w sobie, U, Pb, Fe, Hg, Si, Bi, Ba i t. d. Pokazało się przy takiej analizie, że frakcya zawierająca bismut, oraz frakcya zawierająca baryum, były silnie promieniotwórcze, podczas gdy zwykły bismut i baryum z innych rud otrzymany, ani śladu tej właściwości nie wykazuje. Z tego wnioskowali małżonkowie Curie, że ruda uranowa zawiera dwa nowe pierwiastki silnie promieniotwórcze, jeden podobny do bismutu w swych właściwościach chemicznych, który nazwano polonium, i drugi podobny do baru, który nazwano radyum. To odkrycie ogłoszono w roku 1893, drugą część wspólnie z panem Bémont, który był pomocny przy badaniach chemicznych.

Równocześnie pan Demarcay, specyalista na polu spektroskopii stwierdził, że owe baryum, zawierające według zdania Państwa Curie nowy pierwiastek radyum, istotnie przy analizie widmowej wykazuje linię dotychczas nieznaną; potwierdziło to odkrycie Państwa Curie ponad wszelką wątpliwość.

Chodziło teraz o to, żeby większe ilości tych substancyi wyosobnić i bliżej poznać ich właściwości. Na razie rząd austryacki, właściciel kopalni w Joachimsthal dostarczył 10 centnarów odpadków rudy uranowej, które właśnie owe substancye zawierają, później różne towarzystwa francuskie dalszego materyału dostarczyły. Ale jakie trudności to zadanie przedstawia, to zrozumiałe będzie, gdy powiem, że ilość radu zawarta w 1000 kg rudy wynosi mniej więcej jedną dziesiątą część grama. Podobnie np. każda woda rzeczna, także woda morska, zawiera ślad złota i to jest mniej więcej ta sama proporcya jak w wodzie morskiej. Nikt złota nie wydobywa z wody morskiej, a jednak wyłączenie radu z rudy uranowej jest zadaniem jeszcze niesłychanie trudniejszem, gdyż radyum tak podobne jest chemicznie do baryum, tak stale mu towarzyszy w wszelkich reakcyach, że oddzielenie ich jest procesem nadzwyczajnie mozolnym i trudnym.

Użyto do tego sposobu „krystalizacyi frakcyonowanej“. Zauważono mianowicie, że chlorek radowy jest mniej rozpuszczalny we wodzie niż chlorek barowy. Więc jeżeli się odparowuje roztwór mieszaniny tak, że kryształy się osadzają na dnie naczynia, pokazuje się, że te kryształy stosunkowo więcej zawierają radu niż ciecz nad niemi się unosząca. Można zatem te kryształy na nowo rozpuścić we wodzie, na nowo odparowywać, otrzymuje się kryształy o większej jeszcze koncentracyi soli radowej i powtarzając takie operacye, według pewnego systematycznego planu, setki i tysiące razy, z całą starannością i sumiennością, można dojść wreszcie do minimalnej ilości prawie zupełnie czystej soli radu.

To oczyszczenie radu, a później podobnie też polonu było znów dziełem pani Curie samej. Postawiła sobie mianowicie zadanie: określenie sposobem czysto chemicznym ciężaru atomowego radu, zadanie nadzwyczajnie śmiałe ze względu na trudności oczyszczania, oraz na minimalne ilości materyału.

Natomiast pan Curie, pozostawiając stronę czysto chemiczną tych poszukiwań żonie, zajął się więcej fizycznemi badaniami nad promieniami wysyłanemi przez owe substancye. Nie mogę wchodzić w przedstawienie długiego szeregu badań nadzwyczajnie doniosłych, które wykonał częściowo sam, częściowo wraz z żoną albo też z innymi współpracownikami. Podkreślę tylko te badania, które pani Curie wykonała na własną rękę, t. j. przedewszystkiem owo określenie ciężaru atomowego radu, które stanowi jeden z klasycznych przykładów metodycznych badań tego rodzaju, pamiętny w dzisiejszej chemii. Przez dziewięć lat tym problemem się zajmowała i wciąż nowe próby podejmowała z coraz rosnącą precyzyą pracy, aż wreszcie w r. 1907 jako ciężar atomowy radu otrzymała liczbę 226·45.

Znaczenie naukowe tych prac ocenić potrafi tylko chemik. Czasami słyszy się z ust niefachowców, zwłaszcza takich, którzy *a priori* kobiecie odmawiają zdolności myślenia samodzielnego, że to przecież była praca tylko m e c h a n i c z n a, że inspiracyę autorka zawdzięczać musiała swemu małżonkowi. Łatwo to powiedzieć i któż stwierdzi słuszność czy niesłuszność? Choć charakterystyczne jest już to, że Akademia Szwedzka w roku 1902 udzieliła nagrodę Nobla o b u małżonkom Curie wraz z Becquerelem, oraz że pan Curie w roku 1904 odrzucił proponowaną mu przez Rząd francuski *légion d'honneur* z tym motywem, że żona w jego

odkryciach ma równy udział. Ale pominąwszy kwestyę oryginalności pomysłu, której rozstrzygnięcie jest niemożliwe a roztrząsanie jest nader przykre ze względu na ścisły i nadzwyczaj lojalny stosunek obu małżonków, zaznaczę jedną rzecz: Zupełnie mylnie sobie ludzie niefachowi wyobrażają twórczość naukową jako szereg genialnych pomysłów! A przedewszystkiem stosuje się to do chemii, tam pomysły są tanie; cenne jest ich wykonanie! W żadnej innej nauce chyba ścisłość i precyzya p r a c y nie jest tak ważną jak w chemii.

Wiadomo zresztą, że niestety współpracownictwo małżonków Curie zostało przedwcześnie przerwane zrządzeniem losu brutalnie tragicznym: 19. kwietnia 1906 r. Curie został przejechany automobilem; śmierć zaskoczyła tego pierwszorzędnego uczonego w 47. roku życia.

Zresztą losy osobiste pani Curie są wszystkim znane. Po śmierci męża została powołana jako następczyni jego na katedrę Sorbonny, stworzoną dla jej męża w roku 1904 i od tego czasu stoi na czele laboratoryum instytutu radyologicznego Paryża. W zeszłym roku była kandydatką na członka Akademii Francuskiej (*„l'Institut"*); przy wyborze jednak zwyciężyli zasadniczy przeciwnicy udziału kobiet w tej instytucyi i przeszedł małą większością Branly, swoją drogą także uczony, któremu nie można odmówić pewnych zasług na polu fizyki. Paryż jednak przy tej sposobności okazał się godnym swej sławy jako gniazdo klik, koteryi i intryg, które odezwały się głośnym echem w prasie europejskiej i których senzacyjność tak zupełnie nie zgadza się z tą cichą, poważną i unikającą rozgłosu osobistością, jaką jest pani Curie. Nagrodzoną została swoją drogą udzieleniem powtórnem, tym razem jej osobiście, nagrody Nobla, dokonanem przed kilku miesiącami.

Pośród prac w ostatnich latach wykazanych, jeszcze wypada wymienić przedewszystkiem wytworzenie radu metalicznego z soli radowych przedtem otrzymanych — jako fakt naukowy stanowiący niejako k o r o n a c y ę działalności Curie-Skłodowskiej nad promieniotwórczością. Odtąd zwróciła swoją czynność przedewszystkiem w kierunku badań nad polonium, co do którego znacznie mniej jeszcze wiemy niż co do radu.

Chcąc zcharakteryzować typ umysłowy pani Curie Skłodowskiej według podziału trafnego Ostwalda, sądzę, że jest ona (po-

dobnie jak jej mąż) wybitną przedstawicielką typu „klasycznego“. Ścisłe logiczne rozumowanie, praca metodyczna, wytrwała w kierunku jasno wytkniętym, zadowolenie w precyzyjnem wykończeniu badań, ostrożność w formułowaniu hipotez i wniosków, są to cechy nadzwyczajnie charakterystyczne, różniące ją zasadniczo n. p. od współcześnie na tym samym polu pracujących Anglików: J. J. Thomson, Rutherford, Sir Wiliam Ramsay, typowych „romantyków“. Ta cecha charakteru tłómaczy też, czemu z pewną niechęcią odnosi się do dzisiejszego stanu badań nad promieniotwórczością, gdzie panuje formalny wyścig za senzacyjnemi nowościami, gdzie się publikuje prace jeszcze niedojrzałe, tylko dlatego, żeby się nie dać ubiedz komu innemu w pierwszeństwie.

Doniosłości badań Państwa Curie dla nauki chyba nie potrzeba obszernie objaśniać. Stworzyły one podstawę dla nauki o promieniotwórczości dzisiaj już samodzielnej gałęzi wiedzy, pośredniej między chemią i fizyką, która na jedną i drugą umiejętność całkiem nowe, nieoczekiwane światło rzuciła. Wspomnę tylko n. p., że badania Rutherforda stwierdziły niezbicie słuszność teoryi transformacyi atomów, wygłoszoną jako możliwą hipotezę przez panią Curie już w roku 1899, według której atomy pierwiastków promieniotwórczych nie są niezmienne, tylko z biegiem czasu się starzeją i kruszeją, a okruchy odpadające, to są właśnie owe promienie α i β, składające się z cząstek wystrzelonych przez atomy z olbrzymią prędkością.

Tak wiemy też dzisiaj, że n. p. owe polonium jest potomkiem, produktem transformacyi atomów radu, a rad znów jest zapewne potomkiem uranu. A takich kolejnych stadyów transformacyi, które chemicznie się zachowują jako pierwiastki, krótko mówiąc „pierwiastków promieniotwórczych“ znamy dzisiaj już 35!

Punktem wyjścia naszych rozważań była ogólna kwestya uzdolnienia umysłu kobiecego do nauk ścisłych. Starałem się dać obraz sprawiedliwy działalności naukowej owych trzech kobiet uczonych, gdyż sądzę, że wystarczy to najzupełniej do zbicia śmiesznego przesądu, jakoby kobiety wogóle do pracy twórczej w zakresie tych nauk nie były zdatne. Zwłaszcza zasług naukowych naszej rodaczki mogliby nawet pierwszorzędni uczeni z pewnością pozazdrościć.

Tem dziwniejszem się wydaje, czemu to są tylko rzadkie wyjątki, czemu do dziś dnia taka olbrzymia panuje dysproporcya

pracy kobiet a mężczyzn na polu twórczości ściśle naukowej, podczas gdy kobiety tak wybitne stanowisko zajmują w twórczości literackiej, poetycznej, artystycznej, a nawet w obrębie samych nauk ścisłych w niczem mężczyznom nie ustępują; o ile chodzi o działalność reproduktywną; o uczenie się i nauczanie innych.

Często słyszy się zdanie, że jest to skutek dziedziczności, konsekwencya wiekowego zaniedbania tych stron umysłu kobiecego. Zdaje mi się, że takie tłómaczenie nie wytrzymuje krytyki Każdy przyrodnik wie, jak nadzwyczajnie trudno wogóle cechy nabyte podczas życia indywidualnego się dziedziczą. Wiele pokoleń na to potrzeba, żeby wytworzyć stałe skłonności psychiczne! Z pewnością wiele więcej niż obejmuje okres historyczny, odkąd młodzież męska pobiera systematyczną naukę szkolną. Przedewszystkiem jednak skłonności psychiczne (a przeważnie też fizyczne) nie dziedziczą się w ten sposób, żeby zdolności ojca przechodziły na syna, a zdolności matki na córkę, tylko z równym prawdopodobieństwem dzieje się też na odwrót.

Nie sądzę wogóle, jak już wspominałem, żeby istniała wybitna różnica w usposobieniu intelektualnem, żeby umysł kobiecy mniejsze posiadał zdolności w kierunku nas zajmującym, tylko że owa dysproporcya pochodzi od pewnych przyczyn odmiennej natury; różnicy upodobania, różnicy zajęcia i różnicy charakteru.

Nauki ścisłe dla kobiet z reguły, z bardzo nielicznymi wyjątkami, mniej są pociągające niż nauki humanistyczne, to są owe nauki, które Herbert Spencer nazwał „ornamentacyjnemi". Kobiety z natury swej mają pociąg do ornamentacyjności. One też wolą historyę, literaturę, filozofię, a nawet medycynę i nauki biologiczne, niż matematykę, fizykę, chemię. Tamte ogniskują się koło człowieka, koło życia, te zajmują się przyrodą martwą i prawidłami abstrakcyjnemi i one się im zazwyczaj wydają suche i nudne. Czy te upodobania się z czasem zmienią? Nie przypuszczam.

Pomijając jednak różnicę upodobania, przejdźmy do samej psychologii twórczości naukowej. Otóż sądzę, że tu także kobiety są w mniej korzystnem położeniu. Po pierwsze twórczość naukowa wymaga zupełnego oddania się nauce, z całą myślą skupioną w jednym kierunku. Dyletantyzm tu jest wykluczony; uczony jest zawsze do pewnego stopnia dziwakiem, wpatrzonym w swoją

naukę, ignorującym względy i obowiązki życia codziennego. Kobieta zaś jest niewolnicą drobnych codziennych obowiązków. Jeżeli naukę uprawia, to zazwyczaj nie z zamiarem poświęcenia jej całego życia, tylko po dyletancku, w wolnych chwilach.

W sztuce, a zwłaszcza w literaturze, dyletantyzm nie jest żadną przeszkodą do osiągnięcia pierwszorzędnych wyników. Przypomnę choćby ów niedawno odkryty talent literacki, ową Soeur Marie, szwaczkę w Paryżu, która jak › dziecko-sierota owce pasła, a której utwory literackie dzisiaj członkowie Akademii Paryskiej wysławiają. W nauce to niemożliwe, tam trzeba przechodzić długie lata ciężkiego systematycznego studyum, zanim marzyć wolno o pracy samodzielnej, a chcąc dojść do wyników poważniejszych, trzeba swoją duszę zaprzedać nauce całkowicie, trzeba naukę uprawiać zawodowo. Potwierdzają to nawet szczegóły biograficzne owych trzech kobiet, któremi dzisiaj się szczegółowo zajmowaliśmy. Dzisiaj wprawdzie zawody „uczone“ są w znacznej części dla kobiet otwarte i byłby już czas na to, żeby znikły wogóle jakiekolwiek pod tym względem ograniczenia — także czynności domowe z postępem kultury coraz mniej będą absorbowały sił kobiecych — jednak chyba zawsze znaczna część kobiet będzie zajęta tym zawodem, jak powiada J. St. Mill, „w którym żaden mężczyzna jej konkurencyi robić nie potrafi“.

Wreszcie jeżeli chodzi o owe kobiety, które mają upodobanie do nauki i które jej całkowicie się poświęcają, to przecież nie podlega chyba wątpliwości, że mężczyzni zazwyczaj się odznaczają większą inicyatywą i samodzielnością. Sądzę, że jest to raczej właściwością charakteru niż umysłu — ale jakbądź — właściwość ta istnieje i odgrywa rolę nadzwyczajnie ważną w samodzielnej twórczości naukowej. Składają się na nią różne cechy poszczególne: pewna awanturniczość, odwaga w wypowiadaniu swego zdania, upór i zaufanie do siebie samego, pewne zacietrzewienie w swych przedsięwzięciach — wogóle te same cechy charakteru, które obserwujemy u chłopców bijących się na ulicy. One były źródłem powodzenia Kolumba i one też dają natchnienie uczonym badaczom do odkrycia nowych dróg badania naukowego; one są źródłem tego, co nazywamy genialnością.

Spodziewajmy się jednak, że kobiety tych rysów charakteru sobie nie przyswoją! Wogóle nie wydaje się to prawdopodobnem żeby z czasem na polu twórczości naukowej mogła zapanować,

równość zupełna, taka jak na wielu innych polach, choć dysproporcya obecna niewątpliwie z czasem zmaleje. Wszak i kobiety się odznaczają pewnemi zaletami specyalnemi, jak drobiazgową sumiennością i mrówczą pilnością pracy, które powinny im dawać wybitne uzdolnienie w kierunku takich działów jak n. p. chemia, gdzie chodzi o systematyczne mozolne poszukiwania doświadczalne.

Sądzę, że na jedną rzecz się wszyscy zgodzimy: że kobietom, które wstępują na drogę naukową — zbyt dużo ich nigdy nie będzie! — powinno się ułatwiać ich powołanie, że powinny nareszcie raz zniknąć wszelkie zewnętrzne przeszkody, owe śmieszne przesądy, owe przestarzałe poglądy, które kobietom zamykają dostęp do niektórych instytucyi naukowych, które im utrudniają kształcenie się, pracę naukową, dostęp do katedr uniwersyteckich.

Niech tu jak na każdem innem polu panuje zasada wolnej konkurencyi! Oby ta konkurencya była jak najżywszą!

M. Smoluchowski.

U kolebki militaryzmu pruskiego.

Państwo pruskie XVIII. wieku jest ostatnim, a zarazem też najwięcej skończonym rezultatem owego politycznego i umysłowego ruchu, który się począł renesansem państw włoskich, znalazł w Kolbercie i Kromwellu swych głównych przedstawicieli, a który się oznacza ogólnie nazwą państwa policyjnego, merkantylizmu i oświeconego despotyzmu.

Od czasów Macchiavellego aż do końca XVIII. wieku państwo i społeczeństwo przedstawiają się jako dzieło wielkich mężów stanu, gospodarstwo zaś społeczne ukazuje się jako sztuczny mechanizm, którego liczne cząstki można zachować w równowadze jedynie tylko przez wszelkiego rodzaju rozporządzenia, wydawane z góry. Tylko kierująca ręka zwierzchności może stanowić o tem, czego dla jednostek i dla ogółu ludności potrzeba, czego za wiele, a czego za mało.

I ten kierunek przeważa w Niemczech aż do ukazania się Kanta prawa natury [1]). Najcharakterystyczniejszy wyraz znalazł ten kierunek w pismach filozofa Krystyana Wolfa, który wynosił pod niebiosa Chiny z ich rządami mandaryńskimi jako wzorowe państwo, nauczyciela duchowego tej generacyi, która doszła do dojrzałości w latach 1720 do 1750, a do której zaliczyć należy przedewszystkiem Fryderyka Wielkiego.

W tej epoce systemu merkantylistycznego gospodarcza walka konkurencyjna wielkich mocarstw zamieniała się wówczas jeszcze łatwiej niż dzisiaj w walkę orężną. Militarno-polityczne siły rzucano bez skrupułów na szalę interesów gospodarczych, tak jak z drugiej strony bogactwo kraju uchodziło za bezpośrednie popar-

---

[1]) Schmoller, *Studien* 7.

cie potęgi państwowej. Jest to czas, w którym wogóle wielkie potęgi polityczne poczęły się stawać także wielkiemi ciałami gospodarczemi. Nie było wówczas długów państwowych, nie zaciągano pożyczek w przypadku nadzwyczajnych potrzeb, lecz naprzód zbierano zapasy pieniężne na wypadki niezwykłe, przedewszystkiem na wojnę, a militarno-polityczna siła Prus za Fryderyka Wielkiego nie opierała się jedynie na wielkiej i doskonale wyćwiczonej armii, lecz także na istnieniu skarbu państwowego [1].

Stąd polityka handlowa w epoce systemu merkantylistycznego wymagała artykułów wywozowych, a te trzeba było uzyskać za pomocą pracy wytwórczej. Aby zaś doprowadzić do rozkwitu produkcyę, potrzeba było wielkiej ilości ludzi w kraju. Rozumowano tak: Im większa jest liczba mieszkańców kraju, tem więcej można wyprodukować, im więcej się produkuje, tem więcej można wywozić, a im więcej się wywozi, tem więcej srebra srebra i złota wpływa do kraju. Ponieważ postęp gospodarczy zależał od środków i rozporządzeń monarchy, panujący uważali za swoje zadanie wpływać na ruch ludnościowy, a publicyści i uczeni tendencyę tę popierali. Odpowiednio zaś do systemu absolutyzmu wydawano całe szeregi rozporządzeń, które przypominają po części zarządzenia cezarów z początków rzymskiego cesarstwa. Odznaczał się w tej dziedzinie Fryderyk. Nasamprzód więc stosowano w Prusach wszelkie środki, aby nie stracić żadnego żyjącego w państwie poddanego, a aby zapobiedz wydawaniu przez nich pieniędzy poza granicami kraju, wydawano zakazy przeciw chwilowemu nawet pobytowi za granicą, i to nawet wobec takich warstw ludności, które z tegoż pobytu wielkie odnosiły korzyści dla siebie i krajowi przez to się przysługiwały. *Corpus Constitutionum Marchicarum* i zbiory edyktów Fryderyka roją się od tych zakazów. Surowo zakazane było studyowanie na zagranicznych uniwersytetach, gimnazyach i szkołach — nawet przez trzy miesiące. Przekraczający zakaz wykluczeni byli w Prusiech od wszelkich publicznych urzędów duchownych, sądowych, administracyjnych i wojskowych.

Przy staraniu się o posadę trzeba było przedłożyć świadectwo, że od r. 1748, t. j. od wydania pierwszego edyktu w tej dziedzinie nie przekroczyło się tego zakazu. Niemniej surowo wzbronione były wędrówki pruskich czeladników do obcych kra-

---

[1]) Skalveit, *Beiträge*, 384.

jów (1765), a wogóle żadnemu poddanemu nie było wolno bez pozwolenia władz udawać się poza granice kraju. Sprzeciwiał się oczywiście też ten system wychodzeniu kobiet za mąż za granicę i groził im utratą pozostawionego majątku.

Tem ostrzejsze przepisy stosował Fryderyk przeciw emigracyi całych rodzin za granicę w celach osiedlenia się w obcym kraju. Uchodzącym bez pozwolenia konfiskuje się majątek na rzecz skarbu, sojusznicy ich otrzymują 3 lata fortecy lub domu roboty, tych, którzy opieszale spełniali swój obowiązek przy chwytaniu zbiegów, pociąga się do odpowiedzialności, werbowników zaś schwytanych *in flagranti* wiesza się na mocy wyroku trybunału wojskowego, od którego niema apelacyi.

Stosownie do tych zapatrywań, starał się Fryderyk równocześnie o naturalne mnożenie się ludności w kraju. Ze względów na wzrost ludności zniósł Fryderyk w r. 1746 istniejącą wówczas karę kościelną na upadłe dziewczęta, a nawet zakazał w r. 1765 czynić im wyrzuty z powodu wydania na świat potomstwa, wynikającego ze związków nielegalnych [1]). Władza każdej miejscowości, szczególnie fizycy a także i akuszerki mieli baczną zwracać uwagę na niezamężne, a podejrzane o ciążę osoby płci żeńskiej i urządzać u nich wizytacye kwartalne, aby zapobiedz rozmyślnemu poronieniu [2]), a dotyczący właściciele domów mieli o swoich podejrzeniach donosić władzom. W r. 1776 rozporządził Fryderyk, aby fizycy na koszt państwa dokonywali sekcyi przymusowej zmarłych kobiet, będących conajmniej w 7-ym miesiącu ciąży, celem umożliwienia na wszelki przypadek życia nowemu obywatelowi państwa.

Nie wystarczyły jednak Fryderykowi środki starania się o powstrzymywanie poddanych od emigracyi i o wzrost naturalny osiadłej ludności, lecz uwaga jego zwracała się także na zyskiwanie ludzi z zagranicy. Rozmaite były rodzaje zyskiwania ludności z obcych krajów przez królów pruskich Fryderyka Wilhelma I. i jego syna Fryderyka II. Nasamprzód otrzymywali oni ludzi jako podarunek lub na mocy umowy od książąt i szlachty sąsiednich krajów.

Przykład najlepszy pod tym względem daje Polska. Szlachta polska, a nawet ludzie stojący na świeczniku, w celach politycznych

---

[1]) *Nov. Corp. Const.* III, 583, 1245.

[2]) *C. C. M.* II, Abt. III, 121, 131.

lub dla osobistego interesu wchodzili z Fryderykiem Wilhelmem w układy i zobowiązywali się odstawiać mu wysokiego wzrostu ludzi, do których on szczególne miał upodobanie i umieszczał ich w gwardyi. Górowskiemu, opatowi bledzewskiemu pozwolił Fryderyk Wilhelm [1]) na odrawianie mszy na terytoryum brandenburskiem za wystawieniem rewersu, że mu dostawi dwóch rosłych i tęgich rekrutów. Nawet Stanisław Leszczyński, oblężony w Gdańsku, kazał schwytać na ulicach miasta dwóch wzrostem uderzających chłopów i odstawić ich królowi pruskiemu [2]). Bawiący przy boku króla regimentarz, Stanisław Poniatowski, również mu obiecał dwóch olbrzymów, nie znalazłszy jednak takich, ofiarował 4000 tal. odszkodowania, chcąc w ten sposób pozyskać sobie Fryderyka Wilhelma. Wielu z szlachty zobowiązało się rewersami dostarczyć królowi pruskiemu do jego gwardyi olbrzymów z zastrzeżeniem, że przed wywiązaniem się ze swej obietnicy nie opuszczą krajów pruskich. Między innymi wystawił tego rodzaju piśmienny rewers Karol Piotr Pancerzyński, biskup wileński. Po zawarciu pokoju w Wiedniu dnia 3. października 1735 r. postanowili panowie polscy wynieść się potajemnie z Królewca, ale wrócono ich od granicy, wszystkich jako aresztantów do Królewca, skąd ich dopiero poseł francuski markiz de la Chétardie wydobył [3]).

Pod względem robienia tego rodzaju podarków zaczęli u nas szlachtę naśladować nawet chłopi. Wydarzyło się n. p. w czasie bezkrólewia po Auguście II., że wójt z miasteczka Nowogrodu w ziemi łomżyńskiej, przekupiony przez sąsiednie władze pruskie, wydał w niewolę pruską dwóch mazurów. Gdy sprawa wyszła na jaw, sąd kapturowy łomżyński kazał owego wójta obwiesić w Łomży [4]). Ale aż do końca istnienia Rzeczypospolitej zajmowano się — jak dyaryusze Sejmów świadczą — sprawą oddawania lub zaprzedawania ludzi ościennym państwom.

Innym środkiem zyskiwania ludności zagranicznej był werbunek. Do ściągania rekruta z zagranicy spowodował Fryderyka jego system militarny. „Jest rzeczą pewną, a doświadczenie dowodzi tego w ogólności — brzmiało jego zdanie — że najlepszemi wojskami państwa są wojska narodowe. Jeżeli jednak królestwa lub

---

[1]) Poczdam, dnia 21. kwietnia 1734 r.

[2]) Jarochowski, Napad, 486.

[3]) Weber, *Aus vier Jahrhunderten* II, 214—215.

[4]) Glogier, Księga, 232.

cesarstwa nie wydają wielkiej, potrzebnej ilości ludzi dla armii, jaką zużywa wojna, wtedy zmusza konieczność do zwrócenia się do wojsk zaciężnych, jako do jedynego środka uzupełnienia braków państwa... wówczas miesza się wojsko obce ze swojskiem, tak jednak, aby liczba obcych nie przewyższała liczby żołnierzy narodowych“ [1]). Postępowanie Fryderyka zupełnie odpowiadało tej zasadzie [2]). Mniej więcej $^2/_3$ całej armii pruskiej pochodziło z zagranicy. Rokrocznie — jak w r. 1780 wyraźnie Fryderyk powiedział do Lucchesiniego — 6000 ludzi kazał zagranicą werbować za kwotę 50.000 tal. To też, jeśli się zważy, że — (wedle obrachunku Schmollera [3]) — przynajmniej połowa zwerbowanych zostawała w kraju, w wieku XVIII. państwo pruskie wchłonęło w siebie 300.000 do 400.000 najtęższych mężczyzn, jakich sąsiadujące z Prusami kraje posiadały.

Już werbunki w kraju połączone były z wszelkiego rodzaju gwałtami. Pułkownicy i oficerowie werbunkowi chwytali i uprowadzali nawet synów jedynaków, którzy mieli być uwolnieni od wojska, akademików z uniwersytetów, nawet całe kolonie poddanych (których osiedlali nieraz na własnych dobrach). Jeśli zaś w razie wojny nastąpił brak żołnierza, wtedy ustawał wszelki wzgląd na prawo. Urządzano formalną obławę, obsadzano bramy miasta strażami, wchodzących jak i wychodzących poddawano straszliwej rewizyi, zatrzymywano każdego silniejszego mężczyznę o wyższym wzroście, wpadano nawet do domów, szukano rekruta po piwnicach, na strychu, i to w rodzinach uwolnionych od służby wojskowej. Podczas siedmioletniej wojny zabierali Prusacy na Śląsku nawet chłopców wprost z wyższych klas gimnazyalnych. „Jeszcze w drugiej połowie XIX. wieku — stwierdza znany także nam, Polakom, historyk Freytag [4]) — żyło w wielu rodzinach wspomnienie trwogi i niebezpieczeństwa, jakie system werbunkowy sprawiał dziadkom. Było wówczas dla syna duchownego lub urzędnika wielkiem nieszczęściem, jeśli wzrostem wystrzelił w górę, a zwykłą przestrogą zmartwionych rodziców było:

— Nie rośnij, bo cię porwią werbownicy!“

---

[1]) *Oeuvres* II, 58.

[2]) Mirabeau, *De la monarchie prussienne* III, 40—41.

[3]) *Die preussische Einwanderung,* 576.

[4]) *Bilder* IV, 184.

Ponieważ jednak liczba ludzi, jakich można było bez większego uszczerbku dla rolnictwa i rzemiosła zabrać do wojska z własnego kraju, niedostateczną była w stosunku do liczby wojska, jaką królowie pruscy utrzymać sobie postanowili, wzrok ich przeto skierowany był na ludność krajów s ą s i e d n i c h.

A ten werbunek królów pruskich był — jak stwierdza wspomniany patryota pruski, Freytag — daleko brutalniejszy i niebezpieczniejszy, aniżeli werbunek dowódców dawnych lancknechtów. Przez przyjęcie zadatku był rekrut krępowany. Znanym był wybieg: Spoić chłopaków nie przeczuwających nic złego, w wesołem towarzystwie upojonym wcisnąć pieniędze, potem okuć w kajdany i do więzienia wtrącić, a gdy wytrzeźwieli, zatrzymać. Pod eskortą i wśród groźb wleczono potem tych więźniów pod chorągwie i barbarzyńskiemi karami zmuszano do przysięgi na wierność. Oprócz trunku używano do uwiedzenia rozmaitych gier, dziewczyn publicznych, kłamstwa i oszustwa.

Od oficerów werbunkowych wymagano pewnej osobnej zręczności do podstępu wobec łatwowiernych; od tego zależał ich awans i podarki. Często też nie jawili się oni w mundurze, lecz przebrawszy się w inną odzież, usiłowali schwycić swoją ofiarę. Okropne są w poszczególnych wypadkach czyny, jakich się dopuszczano przy takich nagankach na ludzi, a wobec których rządy miały jedynie pobłażliwość dla werbowników. W rzeczy samej było to polowanie na niewolników, gdyż zwerbowany żołnierz wtedy dopiero mógł pełnić służbę wojskową, gdy się pożegnał z wszystkiemi nadziejami i dążnościami swego poprzedniego życia. Nad wszelki wyraz smutną jest rzeczą wnikać w uczucia, jakie nurtowały w tysiącach uciśnionych ofiar, zrozumieć zniszczone nadzieje jednych, bezsilną nienawiść drugich przeciw ciemiężcom, ból rozdzierający serce innych nad złamanem życiem [1]). Nie tylko jednak nieostrożnych lub lekkomyślnych młodzieńców zabierano do wojska. Ceniony przez królów pruskich reorganizator armii pruskiej, generał-feldmarszałek Boyen, tak przedstawia charakter ówczesnego wojska pruskiego:

Przy zaciąganiu ludzi do wojska Fryderyka nie przywiązywano znaczenia do wartości moralnej zwerbowanych. Przez to zginęło poszanowanie dla godności moralnej, a czynnik ten smutny

---

[1]) Boyen, *Erinnerungen* I, 201.

dostał się w spadku dla następujących lat pokoju. Można bez przesady przypuścić, że z rekrutów zagranicznych, wstępujących corocznie do wojska, połowa składała się z lekkomyślnych, ale niezupełnie jeszcze zepsutych ludzi, gdy tymczasem druga połowa składała się z niegodziwych, którzy dezercyę z jednej służby do drugiej uważali jako rzemiosło — a w międzyczasie oszustwem i kradzieżą starali się pozyskać dodatek w swoim garnizonie [1]. Rzadko znalazła się kompania, któraby przynajmniej kilku ludzi nie miała godnych szubienicy [2]. Wobec takiej hołoty i zbieraniny, znajdującej się w chorągwiach, nieustannych jej wybryków i kradzieży, jakich dokonywała, nietylko cały stan wojskowy tracił szacunek u współobywateli, lecz także brutalne traktowanie żołnierzy okazało się koniecznem tego następstwem [3]. W wojsku pruskiem była kara cielesna, z wyjątkiem szpicruty, pozostawiona samowoli i uznaniu każdego dowódcy. Stąd zdarzało się, iż wymierzano za kradzież czterdzieści razów, a za nieporządek w ubraniu pięćdziesiąt. Karano zaś żołnierzy na placach publicznych. Większość oficerów uważała surowość taką i samowolę za korzystny środek prawny, jako świętą tarczę ochronną życia rycerskiego.

To wszystko pisze generał-feldmarszałek Boyen, uczeń Scharnhorsta, przyjaciel Gneisenaua, Grolmana, Clausewitza, pruski minister wojny w latach 1814—19 [4]).

Bicie kijem było rzeczą zwykłą, areszty i kary forteczne, obostrzone wszelkiego rodzaju katuszami, nierzadkie — najstraszniejsze było bicie szpicrutami, gdzie delikwent musiał biedz 20—30 razy z obnażonemi plecami przez żywą ulicę setek uzbrojonych w pręty żołnierzy, podczas gdy oficerowie baczyli uważnie, aby każdy bił mocno. Setki nieszczęśliwych oddało w tych męczarniach ducha [5]. „A nie byli to zawsze najgorsi ludzie, których z powodu powtórnej dezercyi szpicrutami bito na śmierć lub za nieposłuszeństwo aż do omdlenia“, — czuje potrzebę dodać do tego opisu Freytag [6].

---

[1]) Boyen I, 201.
[2]) Boyen I, 208.
[3]) Boyen I, 202.
[4]) Boyen I, 209 i 210.
[5]) Philippson, *Geschichte des preussischen Staatswesens* I, 15.
[6]) *Bilder aus der deutschen Vergangenheit* II, 184.

Wobec takich katuszy fizycznych i moralnych wielu nieszczęśliwych, przemocą do wojska zabranych, uważało jako ostatni środek wybawienia: śmierć! Ale i takie wypadki się zdarzały, iż zrozpaczeni innych mordowali, aby tylko śmierć przyspieszyć, gdyż żyć dłużej nie chcieli [1]).

Druga część wojska złożona była z ludzi zepsutych i podupadłych; otóż przeważnej części takiej hołoty wojskowej nie można było przymiotów rycerskich przyswoić nawet za pomocą bata. Natomiast zniszczone organizmy wojskowych ze złymi nałogami napełniały szpitale i więzienia [2]). To też z obawą i wstrętem spoglądał obywatel na żołnierzy; obyczaje ich powszechnie miały tak złą opinię, że każdy świecki człowiek unikał ich i nie chciał mieć z nimi styczności. Jeśli żołnierz wstąpił do gospody, wtedy natychmiast z niej wychodzili mieszczanie i czeladnicy, wogóle każdy kto siebie szanował, skąd gospodarz uważał odwiedziny żołnierzy u siebie za prawdziwe nieszczęście [3]).

Ponieważ nie było skuteczniejszego środka przywiązać zwerbowanego do wojska człowieka od małżeństwa, dlatego rządy, nawet Fryderyk, pozwalały na ożenienie się. Ale z tego związku wynikało dla żołnierzy nowe nieszczęście, t. j. bieda. Żony ich musiały się utrzymywać z prania bielizny lub z innej pracy rąk [4]). Żołd bowiem był bardzo skromny. Żaden podoficer nie mógł z niego utrzymać żony, a tem mniej rodziny. Gdzie nie było innych dochodów, tam nędza i głód były nieuniknionem następstwem [5]). A tylko jeden jedyny był dom dla sierót po żołnierzach, w Poczdamie. W miastach, gdzie była staranniejsza opieka nad ubogimi, były znów sieroty po żołnierzach wielkim ciężarem dla miasta. W Emden, gdzie nie cały batalion stał załogą, zjadała część wojska corocznie $^{1}/_{3}$ wszystkich funduszów ubogich [6]). Stąd miasta uważały pozostawiany garnizon za nieszczęście i prosiły

---

[1]) Czem któryś gwardzista był wzrostem wyższy, tem mniej mógł się zdecydować Fryderyk Wilhelm na to, aby go ukrócić, w rozpaczy więc strzelił raz jeden z nich przy manewrach, dnia 15. maja 1739 r., do króla. Weber (II, 223) dodaje, iż wedle hr. Manteuffla podobne zamachy kilkakrotnie się zdarzały.

[2]) Freytag l. c. IV, 183.

[3]) Freytag l. c. IV, 188.

[4]) Freytag l. c. IV, 188.

[5]) Dohm, *Denkwürdigkeiten unserer Zeit*, IV, 395.

[6]) Wiarda, *Ostfriesische Geschichte*, X, 277.

o uchronienie ich od tego wrzekomego dobrodziejstwa. N. p. Bielefeld 1766, Grudziądz 1774 [1]).

Skutkiem tych wszystkich ciemnych stron życia wojskowego była ta okoliczność, że służbę wojskową uważano za najwięcej hańbiącą i najboleśniejszą karę w krajach pruskich. Dohm [2]) powiada otwarcie: „Zawód wojskowy w Prusiech uważano za największe nieszczęście, jakie człowiekowi mającemu wykształcenie i nieco uczucia, wydarzyć się mogło. Każdy, kto tylko mógł, starał się siebie i dzieci swoje od niego uwolnić“. Skutek naturalny był ten, że wszystkie klasy ludności, które jeszcze miały coś do stracenia, musiały być wyjęte od służby wojskowej. Nie podobna było myśleć o tem, aby z więcej rozwiniętych dzielnic zachodnich wymagać można było zobowiązania do służby wojskowej. Atoli i w prowincyach na wschód od Łaby były także wyjątki, aż do robotnika, uprawiającego rzemiosło pożyteczne. Do „enrolowania“ pozostawali z jednej strony tylko włóczęgi, zbrodniarze i hołota — z drugiej — najwięksi nędzarze, którym brakło wszelkich środków do ucieczki i oporu; niektórzy ucinali sobie wielki palec, co powodowało osobne zakazy Fryderyka, lub też podawali się za parobków oprawców i katów, a więc za ludzi bez czci. Wspomniany powyżej generał-feldmarszałek Boyen wyraźnie stwierdza [3]): iż od służby wojskowej wyłączano całe miasta i okolice, ponieważ takie wyłączanie miało popierać fabryki i przyczyniać się do rozwoju miast głównych — podobnie też niektóre rzemiosła i mniejsze posiadłości.

Kamery niewyczerpane były w wynajdowaniu nowych praw wyjątkowych, do których zwykle dopisywano warunek, iż jeśliby uwolniona jednostka miała się źle prowadzić, będzie wzięta do wojska. Właściwy ciężar uzupełniania wojska spadał zatem na rodziny robotników i biednych rzemieślników, którzy nie byli w stanie zdobyć sobie własności [4]). Stąd Boyen nazywa pobór rekruta za Fryderyka „gwałtami popełnianemi na ubóstwie“. — Philippson [5]) zaś tego samego będąc zdania, dodaje, niejako dla wyja-

[1]) *Preuss. Friedrich der Grosse. Urkundenbuch,* IV, 101, I, 27.

[2]) IV, 297.

[3]) I, 205.

[4]) Boyen, I, 205.

[5]) I, 15.

śnienia: „Nie przypuszczał bowiem Fryderyk, aby prosty człowiek pojmował miłość ojczyzny lub miał poczucie honoru“.

Także i w oficerze widział ten monarcha nie człowieka, lecz tylko środek do swoich własnych celów; wyzyskiwał on go jak narzędzie bez żadnego oszczędzania, a jeśli mu się nie wydał odpowiednim, wtedy poprostu go wyrzucał z wojska. „Po ludzku życzliwie to zapewne nie było — przyznaje Philippson — ale Fryderyk sądził, iż, jeśli małe Prusy mają zachować swoje poważne stanowisko jako mocarstwo, wtedy nie może w niem być mowy o ludzkości lub dobroci, tylko o nieubłaganej racyi państwa [1]). — Pensya oficerów była bardzo skromna — 10 tal. miesięcznie — a zależała zupełnie od upodobania Fryderyka, który jej częstokroć odmawiał z oszczędności, złego humoru, lub osobistego wstrętu do osobnika. Do ożenienia się oficerów, zwłaszcza młodszych, okazywał Fryderyk wielką niechęć, choćby znaleźli świetną partyę z majątkiem i z dobrego domu — mieli oni bowiem należeć tylko do państwa. A jak surowa i bezwzględna była służba wojskowa! Codzienna mechaniczna jednostajność ćwiczeń, ponura, mrukliwa surowość dowódców, którzy pociągani byli do odpowiedzialności przed królem za całe zachowanie się oficerów, wreszcie nadzór przykry, jakiemu podlegali, wszystko to nie składało się na szczęśliwe, podniosłe życie. Każdego roku popis wojska przed królem był okresem ciężkiej próby i strachu, na który się szło z więcej bijącem sercem, niż w ogień nieprzyjacielski. Bystremu wzrokowi Fryderyka nie uszedł najmniejszy błąd, a wtedy spadał grad nagan, szyderstw, pogróżek, często ubliżeń, które powodowały bezzwłoczne wystąpienie z wojska. A jeśli król do jakiego pułku lub jego komendanta, do jakiego oficera lub jego rodziny, z jakiegokolwiek powodu miał niechęć, wtedy, nawet bez dostatecznej przyczyny, następowało obrzucanie obelgami, znieważanie słowne i odebranie stopnia wojskowego [2]).

Nic więc dziwnego, iż z obawy przed służbą wojskową ludzie uciekali z krajów pruskich. Od czasu okupacyi Prus 1772 aż do 1786 r. wyszło z tego kraju samych kantonistów i innych poddanych 10.219 ludzi [3]). Z samego powiatu nyskiego na Śląsku

---

[1]) I, 14.

[2]) Philippson, I, 14, 15.

[3]) Mirabeau, *De la monarchie prussienne*, I, 257.

uciekło 1742—49 r. 272 młodych chłopaków do Austryi [1]). Łatwiej im jeszcze było chronić się za morze. N. p. wsie Derp i Camp w powiecie treptowskim wysyłały swoich chłopaków wcześnie okrętami do Holandyi, Anglii, Szwecyi i Danii, tak iż przez długie lata nie dostarczały żadnego żołnierza [2]). Fryderyk kazał rodziców zmuszać do sprowadzania synów, ale to niewiele pomogło. Również nie skutkowały areszty. Zdaniem Freytaga [3]) ucieczka ta rozciągała się na cały kraj. Żadna pogróżka szubienicą, ucinanie uszu, konfiskata majątku, nie mogły ludzi zagrożonych służbą wojskową powstrzymać od ucieczki. Częstokroć ograniczać musieli królowie pruscy branki a to ze względu na konieczność oszczędzania swoich krajów, w których groziło wyludnienie.

Po zaciągach do wojska nie byli przełożeni ani chwili pewni rekruta, nawet wewnątrz kraju w garnizonach. Stąd na każdą noc wyznaczano oficerów i podoficerów, którzy musieli być gotowi do pościgu za zbiegami. W wielkich garnizonach stały w pogotowiu armaty, ostrzegające o niebezpieczeństwie sąsiednie wsie, gdyż te miały obowiązek za pewne premie obsadzać drogi i chwytać dezerterów. Żołnierz, który cały rok zostawał przy chorągwi, niesłychanie rzadko otrzymywał pozwolenie wyjścia za bramę. A na noc kazano się do jednego łóżka kłaść żołnierzowi zaufanemu z niepewnym czy podejrzanym. Taki zaufany musiał poręczać za swego towarzysza i wolno nawet było takiemu, na którego liczyć nie można było, na noc obuwie zamykać. Jeśli zaś mimo tych wszystkich środków ostrożności, wspólnik jego łoża skorzystał z chwili snu swego dozorcy i uciekł, wówczas karano poręczyciela szpicrutą. Oczywiście stan ten pogarszała jeszcze okoliczność gwałtownego obchodzenia się z takimi ludźmi; samowola doszła do nieskończonych rozmiarów [4]). Ażeby to pojąć, trzeba uwzględnić także inne czynniki, z którymi się liczyć musiano. Każdy marsz nocny, każde rozbicie obozu na krawędzi lasu przynosiły straty, wojsko w drodze czy w obozie musiano otaczać silnym oddziałem huzarów i strażą wojskową, a podczas każdej tajnej wyprawy trzeba było wojsko odłączać za pomocą konnicy,

---

[1]) *Preuss. Urkundenbuch*, I, 159.

[5]) *Preuss. Urkundenbuch*, I, 190.

[2]) IV, 182.

[1]) Boyen I, 203.

aby poszczególni uciekający żołnierze nie donieśli jakich wiadomości nieprzyjacielowi — takie rozkazy wydawał jeszcze Fryderyk II. swoim generałom. Mimo to w każdej kompanii po każdej nawet wygranej potyczce liczba dezerterów była niezmiernie wielka. Po nieszczęśliwych bitwach groziło niebezpieczeństwo, że cała armia się rozleci. Wielu z tych, którzy zbiegli ze swego wojska, szło, jak zaciężnicy podczas trzydziestoletniej wojny, dla spekulacyi do innego; a te ucieczki i zmiany miały szczególnie dla awanturników pewien urok [1]). Stąd podczas całego swojego panowania wydawał Fryderyk to zakazy ucieczki, to ogłoszenia, zawierające przebaczenie winy dla zbiegów.

Widocznie wielu miał żołnierzy Polaków, gdyż jedne i drugie kazał wydawać w języku polskim, a liczył też się z tem, że wielu Niemców uciekało do Polski. Snać jednak te ogłoszenia nie wielki odnosiły skutek, gdyż czwarty w tym celu wydany edykt z r. 1747 opiewa, iż „rzadko ieden albo drugi z żołnierzów zbiegaiących iest powrócon — naywiększa część ich za granicę wyszli y innych więcej za przykładem swoim pociągnęli“.

Wszystkich tych środków i objawów werbunku doznała w pełnej mierze Polska. Zabierano wręcz ludzi przybywających do Prus [2]). Zatrzymywano przejeżdzających, a innych zdradą wabiono do przekroczenia granicy i potem ich zabierano w rekruty. Czyniono to wszędzie. Generał Wolfersdorf w Hamm zabrał nawet kilku ludzi przejeżdżającemu przez Hamm elektorowi kolońskiemu. Tem mniej oczywiście skrupułów miano wobec poddanych polskich. Doszło do tego, że nawet Domhardt, prezes naczelny Prus Zachodnich, skarżył się Fryderykowi (z prośbą o zatajenie nazwiska) na samowolę komendy werbunkowej, iż napadała na pojazdy przybywające z Polski i Żmudzi, wpychała parobków, woźniców i służących w uniformy pruskie, nocą wpadała przez granicę do zagród po ludzi, tak iż niebawem komunikacya z tamtych stron polskich do Prus prawie zupełnie ustała i zwróciła się zamiast do Królewca na Libawę, z wielką szkodą dla handlu [3]). Praktyki te objął Fryderyk po ojcu.

Od r. 1713, t. j. od wstąpienia na tron Fryderyka Wilhelma I. nie minął rok, w którymby werbownicy brandenburscy z Marchii,

---

[1]) Freytag l. c. IV, 191.

[2]) Dohm, *Denkwürdigkeiten* IV, 294.

[3]) Joachim, 138.

z Pomorza, z Prus Książęcych nie byli wpadali, dobrze zwykle uzbrojeni, w liczniejszych zastępach do krajów Rzeczypospolitej. Często staczały się krwawe walki między napastnikami a przybyłą swoim na pomoc ludnością polską. Niekiedy szala zwycięstwa przychylała się na stronę zaczepionych, a werbownicy uchodzili, pozostawiwszy na placu rannych i trupów. Taki mianowicie koniec miała wyprawa oddziału złożonego z 300 Prusaków w okolicy Kwidzyny, o której wspomina jeden z historyków niemieckich [1]), gdzie zgromadzona i uzbrojona naprędce ludność polska zdołała im dać mężny odpór. Zwykle jednakże kończyły się owe wyprawy tragicznie dla nieszczęsnej pogranicznej ludności polskiej, która nie miała obrony skutkiem nierządu panującego w Rzeczypospolitej.

Przeglądając lauda sejmików wielkopolskich i pruskich z epoki Fryderyka Wilhelma I. i Fryderyka II., tudzież dyaryusze sejmów, napotykał się nader często skargi na gwałtowne porywanie poddanych przez ludzi braudenburskich, a liczne głosy posłów na ówczesnych sejmach stawiają Brandenburgię na równi z Moskwą, Tatarami i hajdamacczyzną kozacką, kładąc na to szczególny nacisk, że jak województwa bracławskie i Ukraina nie mają dnia bezpiecznego od tych swoich srogich sąsiadów, tak Poznańskie i Prusy nie mają go również od Brandenburczyka. Wskutek tego wyrósł też w laudach i dyaryuszach dla Brandenburgii i jej postępowania z pograniczną ludnością polską osobny przydomek jej dawany, „złego brandenburskiego sąsiada“ *(der böse brandenburgische Nachbar)*, w dokumentacht łómaczonych na język niemiecki dla użytku Augusta III. i jego ministrów. Do dzisiaj zaś wypływają w czasopismach historycznych niemieckich nowe przyczynki do tej smutnej karty dziejów naszych [2]).

Rzecz to nie nowa. Sprawa zabierania ludzi z Polski doznała w owym czasie słusznego rozgłosu w Europie. Werbownicy brandenburscy zabrali byli z początkiem r. 1740 w Wyszanowie, wsi należącej do klasztoru paradyskiego, sołtysa od żony leżącej w połogu. Wiążąc go w ciemności, przywiązano jego nogę do nogi żony, wyciągając go więc z łóżka porwano razem i położnicę, która skutkiem doznanego przestrachu w kilka godzin

---

[1]) Weber II, 197.

[2]) Por. *Zeitschrift für Geschichte Ermlands.*

później umarła. Nie mogąc uzyskać za zabranie poddanego żadnego zadośćuczynienia, kazał opat aresztować przejeżdżających przez terytoryum polskie kupców z Cylichowa, poddanych brandenburskich, celem wymuszenia satysfakcyi na Fryderyku Wilhelmie I. Wobec tego Fryderyk kazał porucznikowi Gröbenowi z 24 huzarami ruszyć na Paradyż, a w razie potrzeby zażądać pomocy od pułków Schwerina i Schulenburga. Komenda ta napadła 21. marca 1740 r. klasztor, poraniła zakonników, sprofanowała kościół i zabrała sprzęty kościelne i co tylko mogła uwieść na licznych wozach. Dyrektor archiwum państwowego w Dreźnie, Weber, w dziele swojem „*Aus vier Jahrhunderten*“ powiada na podstawie memoryału Antoniego Franciszka Grünwebera, król. pruskiego nadwornego sędziego powiatu świebodzińskiego, iż czytając referat o napadzie, widzi się przed oczyma jakoby scenę z 30-letniej wojny.

Sprawa stała się głośną. Korzystali z niej wówczas w rzeszy wszyscy, którzy doznawali przykrości skutkiem zabierania ludzi ze strony Prus i w Ratyzbonie uczynili wielki alarm.

Cały napad opisany był w pismach publicznych, a posłowie dworów i miast do sejmu rzeszy wysyłali po całych Niemczech artykuły gazet z opisem tego gwałtu. Sejm w Warszawie tegoż roku rozbrzmiewał również przez kilka miesięcy skargami. Ale mimoto opat i klasztor paradyski nie uzyskali w niczem choćby najmniejszego zadośćuczynienia. Takie protesty i gniewy niewielkiego kłopotu nabawiały Fryderyka Wilhelma, a na skargi prywatne odpisywał wprost bez ceremonii, tłómacząc (jak n. p. 1739 r. Prusińskiemu z pod Skwierzyny, któremu zabrał 2 chłopów) „*Que le roi de Prusse avait besoin du monde pour recruter ses régiments*“ [1]).

Werbunki te gwałtowne nie ustawały za Fryderyka II. Z roku na rok przez całe jego życie powtarzało się to samo. Nawet pod bokiem królewskim, z Warszawy, „król pruski zabierał subjecta“ [2]). O jakiejkolwiek rzeczywistej satysfakcyi ze strony Fryderyka nie było mowy. Za każdym razem wobec nowej skargi okazywał on tylko niedowierzanie lub największe zdziwienie jako wobec rzeczy niebywałej, i co najwyżej — jeśli skarżący się był osobą, na której mu zależało — obiecywał ukarać winnych (jak wobec Branickiego,

---

[1]) Przegląd Polski 1866, 485.

[2]) Archiwum Czartoryskich 3855, 47.

k. w. k. w r. 1752[1]). Próżno na sejmach odzywa się skarga, iż „kraj w położeniu województw Poznańskiego, Kaliskiego i Gnieźnieńskiego, Wielkopolskich przez gwałtowne werbunki ludu z młodości wieku, do robotnych czynów najzdolniejszego, odjętym sposobem na rolniczym skrzywdzony sprawowaniu“ [2]). Rzecz się uciera. Podróżnicy Niemcy wspominają o okrucieństwach, jakich się dopuszczano za Fryderyka II. przy werbunkach jako o fakcie znanym. Została Polakom tylko skarga. Nie zbrakło tej przynajmniej jako nauki dla przyszłych pokoleń. Nie kto inny, jak Staszic, naoczny świadek postępowania werbowników pruskich na ziemiach polskich, taki zostawił nam obraz jęku gwałconej ojczyzny naszej:

„W dzień szpiegowano ludzi, w nocy, złodzieyskim zwyczajem, do wsiów i do miast wpadaiąc, wybornieyszą młodzież od żon, od dzieci, z łóżek wywłóczono, do koni wiązano i bydlęcem stadem z kraiu pędzono. Okropna przeklęstwa, przeraźliwy, wśród cichey nocy, krzyk nieszczęśliwych, ieszcze dzikszym żołnierza czynił. Ani nagła śmierć czułych matek, ani prośby, ięczenia ledwie od starości czołgaiącego się oyca, który często na znak miłosierdzia prosił, aby mu życie odebrano, kiedy mu iedyny sposób do utrzymania go, syna, wydarto; nic zmiękczyć nie potrafiło Prusaka“ [3]).

Branka pruska w XVIII. wieku nietylko osłabiła znacznie żywioł polski w Wielkopolsce, ale także przyczyniła się niemało do osłabienia jego fizycznego rozwoju w czasach późniejszych. Zapisała się ona bowiem przynajmniej kilkudziesięciotysięcznym, jeśli nie stotysięcznym niedoborem najlepszego materyału ludzkiego.

W ten sposób utrzymywał Fryderyk źródła otwarte dla tworzenia, zachowania i pomnożeniu potęgi militarnej Prus.

---

[1]) Konopczyński, *Precedens.* 232.

[2]) Wierzchleyski, poseł kaliski, na sesyi XVII. dnia 19. września 1776 r. Dyaryusz 1776, str. 120.

[3]) Uwagi, 109.

Ks. Kazimierz Zimmermann.

Książka prof. Chrzanowskiego o Fredrze.

Nim na tem miejscu ukaże się należycie wyczerpująca ocena tego niepospolitego zjawiska, jakiem jest ukazanie się książki Ign. Chrzanowskiego o komedyach Fredry, pragnę tymczasem choć w kilkunastu zdaniach scharakteryzować doniosłość tego dzieła.

Więc przedewszystkiem zaznaczyć należy, że książka ta jest nareszcie aktem uratowania honoru historyi literatury polskiego, wymazaniem tej szarawej plamy, jaka ciążyła od r. 1876 na dziejach piśmiennictwa, nie umiejącego się zdobyć na pełną monografię największego polskiego komedyopisarza. To już by był wielki tytuł do zasługi. Większym jednokowoż będzie ta okoliczność, że choćby nawet w naszej literaturze krytycznej roiło się od studyów i książek o Fredrze, napewno nie można by było znaleść równie dobrze przemyślanej i opracowanej, pod względem badania naukowego; zakończonej, jak to dzieło prof. Chrzanowskiego.

Książka ta na długie lata, dla pokoleń — pozostanie jako podręcznik wiedzy o Fredrze. Niema bowiem zagadnienia metodycznego i kwestyi historyczno-literackiej z zakresu twórczości Fredry, których by to dzieło nie poruszyło, których by nie wyjaśniło i objaśniło, a w bardzo wielu wypadkach i nie — zadecydowało. Młodzież uniwersytecka, profesorowie szkół średnich, a pośrednio i cały ogół inteligencyi polskiej będzie miał od tej pory „postawioną“ postać Fredry; pod względem naukowym zdefiniowaną, umiejscowioną na należytem miejscu historyczno-literackim. Znikną wszelkie pół-głosy i pseudo-analizy, od których się

roiło; odpadną może i szczezną te banały, któremi publiczność karmiły recenzye teatralne z dzieł Fredry i rozmaite pokątne elukubracyjki. Recenzenci i krytycy nareszcie będą może mieli coś więcej do powiedzenia o Fredrze ponad wystrzępione już uwagi o „Staropolskim humorze“ i równie rozpaczliwem „naśladownictwie Molièra“.

Od daty wydania książki prof. Chrzanowskiego powinna się tedy u nas rozpocząć epoka uczciwego rozejrzenia się w wartościach Fredry. Przed tą książką ogół nie wiedział dobrze, czy autor „Ślubów panieńskich“ jest zwyczajnym sobie wesołkiem teatralnym, czy też, przytem — i poetą. Kto zwłaszcza zapomniał już o świetnem studyum Stanisława Tarnowskiego, tej pierwszej próbie uczczenia Fredry, ten albo należał do odosobnionej garstki gorących miłośników, albo do legionu tych ludzi, którzy byli obojętnymi przechodniami, omijającymi nieuważnie prawdziwy klejnot. Prof. Chrzanowski stawia wymownie przed oczy polskiego czytelnika całą monumentalną wysokość Fredry. Nie jest on bezkrytycznym wielbicielem, ani fanatykiem autora „Zemsty“; przeciwnie, z drobiazgową dokładnością notuje wszystkie wady, omyłki, niedociągnięcia komedyi, ale równocześnie stara się roztoczyć całą szerz zalet i nieporównanych przejawów tego wyjątkowo bujnego talentu. Pokazuje ta książka, że pomimo wad i niedociągnięć twórczość Fredry jest ozdobą literatury polskiej, że bez tej twórczości piśmiennictwo nasze byłoby uboższe o wiele, że zbrakłoby mu jednego więcej uśmiechu i krasy.

Z tego zaś wynika, że to, co było pewnikiem dla niewielu szczerych „fredrystów“ dawnej i dzisiejszej epoki, to odtąd stać się może upewnieniem całej polskiej inteligencyi. Uświadomieniu powszechnemu przybył, za sprawą Chrzanowskiego, nowy wielki pisarz. Byłoby przesadą twierdzić, że Chrzanowski odkrył Fredrę, jak Miriam Norwida — ale Chrzanowski spełnił niemniejsze zadanie: pozornie znanego pisarza tak sklasyfikował i skwalifikował, poddał takiej literackiej analizie, a następnie rozproszone rysy poznania zebrał w tak mocną syntetyczną całość, tak umiał udowodnić swoją tezę o niepospolitości Fredry, że dziś już chyba nie będzie uchodzić za pięknoduszność klepać po ramieniu autora Jowialskich i popisywać się swojem przekonaniem o przestarzałości „Dożywocia“, „Dwóch blizn“ lub „Męża i żony“.

Jeśli kiedy dojdziemy do tego, że Polacy chodzić będą na przedstawienia Fredry, jak na święto poezyi polskiej, to w każdem poszczególnem uczuciu widza, w każdej poszczególnej radości słuchacza cząstką nieodłączną będzie ów wpływ, jaki na społeczeństwo wywrze, a przynajmniej wywrzeć powinna piękna książka „O komedyach Aleksandra Fredry“.

Chociaż uwagi niniejsze nie chcą wyjść poza ramy wstępnej notatki, jednak nie sposób jest pominąć jednego choćby szczegółu z treści dzieła prof. Chrzanowskiego. Mowa tu jest o znakomitem ustaleniu t. zw. zależności Fredry od innych pisarzy, a zwłaszcza od Moliera. Krótkowzroczna krytyka literacka dostrzegła nie bez tryumfu, iż n. p. „Dożywocie“ ma znaczne podobieństwa do „Skąpca“, a Łatka do Harpagona. Olśniona tą swoją przenikliwością, poniechała szukania różnic — i nieraz dochodziło u nas do tego, że zastanawiano się, czy komedye Fredry nie są przypadkiem luźnem tłómaczeniem. Dzieło naszego znakomitego uczonego załatwia kwestyę raz na zawsze. Dla zaspokojenia naszych szperaczy „wpływów“ wyszczególnia wszelkie pierwowzory, z których korzystał Fredro, imponuje im nawet wyszczególnieniem kilkunastu nowych źródeł, ale uczyniwszy ten sakramentalny akt filologii, na kilku kapitalnych kartach poucza, że choćby pokrewieństwo z pierwowzorami było jeszcze większe, niż jest, to i tak Fredro nie przestałby być twórcą samoistnym, jak nie przestaje nim być Molier i Szekspir, obaj przecie też „niemal tłómacze“, jakby powiedzieli nasi recenzenci, bo zarówno Fredro, jak i Szekspir, w tem rusztowaniu cudzej bajki stawiają nawskroś samodzielny gmach własnego temperamentu. Z pewnego rodzaju pasyą (acz ukrytą) rozprawia się Chrzanowski z tymi, którzy tej elementarnej prawdy niestety pojąć nie zdolni — i licząc widocznie na upór tych panów, zestawia n. p. scenę Goldoniego z „Locandiery“ z analogiczną sceną z „Przyjaciół“. Najtępszy chyba dojrzy, co robił geniusz Fredry z t. zw. pierwowzorami, ile im dawał ognia, wichru, jak się te cudze, średnie pomysły przeistaczały we fragmenty o sile arcydzieł. Jeżeli teraz uprzytomnimy sobie, że to, co było naddatkiem Fredry do obcych intencyi, było równocześnie owem „wiekuiście polskiem“, o ileż silniej w duszy Fredry niż w duszach innych pisarzy działającym — to stanie się jasnem, że książka prof. Chrzanowskiego,

uzmysławiając nam te zdobycze Fredry, stawiając nam przed oczy wzrost i wagę tej twórczości, kodyfikując jej walory i odkrywając niejako wartość Fredry — odkrywa, kodyfikuje i stawia — daje nam w darze jednego z najbardziej polskich twórców. I to jest wielkie znaczenie tej książki — w dobie dzisiejszej zwłaszcza.

Adam Grzymała-Siedlecki.

Stany Zjednoczone a Niemcy.

Źródła antagonizmu i charakter zatargu.

Wojna nie skończyła się w roku 1917. Zaniosło się znowu na długie jej trwanie. Staje się tedy z każdym miesiącem coraz bardziej aktualnym udział Stanów Zjednoczonych. Krążą o nim najrozmaitsze wiadomości. Jedni przytaczają prawdziwie amerykańskie cyfry, które dowodzą, jak kolosalne są przygotowania wojenne Stanów, drudzy zaś załatwiają się z tem wszystkiem jednym terminem, stosowanym do wszystkiego, co pochodzi z za Oceanu: „humbug". Przyszłość rozstrzygnie, kto ma racyę. Niezamierzamy tu przytaczać jakichś nowych wiadomości, wogóle bawić się w konkretne przewidywania wojenno-polityczne. Ale chcemy zastanowić się nad źródłami antagonizmu Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Chcemy przyczynić się do wyświetlenia charakteru tej nowej, wielkiej wojny, zastanowić się nad tem, z jakimi zasobami duchowymi i materyalnymi i jakiem usposobieniem przystępują do niej Stany Zjednoczone.

Już przed wojną, w ostatnich paru dziesiątkach lat, przychodziło do zatargów. W r. 1888 zaszła kolizya między interesami Niemiec a interesami Stanów na wyspach Samoa. Dla ochrony swoich pretensyi wysłały tam okręty wojenne obydwa państwa, ale obydwie eskadry zniszczyła burza. Sprawa wlokła się do roku 1899, w którym zakończono ją kompromisem. Niemcy dostały kolonię, Stany Zjednoczone stacyę węglową. Zaostrzyło się również położenie w czasie wojny Stanów z Hiszpanią. Sympatye Niemiec stanęły po stronie ostatniego kraju. Wysłanie przez Niemcy eska-

dry admirała Diedrichsa na wody filippińskie wywołało bardzo trudną sytuacyę. Wzbudziło podejrzenie Stanów, że kiedy inne państwa europejskie wysłały tylko po parę okrętów, Niemcy wystąpiły z całą eskadrą. Jak zaznacza amerykański autor, A. C. Coolidge, „obawa przed obsadzeniem Filippinów przez Niemcy była jednym z powodów, dla których zrobiły to samo Stany". Kupno wysp Karolin i Marian przez Niemcy rozbudziło jeszcze bardziej podejrzliwość Stanów. Obsadzenie Kiauczou przez Niemców stało się też źródłem obrazy. Chodziło tu o nielada sprawę, o niezmierny rynek chiński, o który już przedtem walczyły z sobą obydwa państwa. Zachowanie się Niemców w Chinach w czasie powstania bokserskiego wywołało wiele oburzenia także i w Stanach. Niemcy, czując, że stosunki z potężną republiką z za morza zaostrzają się coraz bardziej, przedsięwzięły próbę ich załagodzenia. Brat cesarza Wilhelma, ks. Henryk, pojechał w odwiedziny z pięknymi podarunkami do Stanów i został tam bardzo gościnnie przyjęty. Ale cóż, nie zawsze umieją Niemcy wybrać odpowiednią porę także dla objawów swojej życzliwości. Gdy Francya wysłała deputacyę do Stanów na odsłonięcie pomnika Rochambeau, znanego bohatera z ich walk wolnościowych, Niemcy równocześnie ofiarowały Stanom pomnik Fryderyka Wielkiego. Był to dar wielce kłopotliwy. Jakkolwiek Fryderyk Wielki w swoim czasie oświadczył się za niezależnością Stanów, to trudno go było przeciwstawiać Rochembeau w roli wolnościowego idealisty. W ostatecznym rezultacie, uroczystości na cześć Rochambeau nabrały większego rozgłosu. Wogóle wszystko, co robili Niemcy, robili mniej zręcznie od innych. Interweniowali razem z Anglią i Włochami z powodu niewypłacalności Wenezueli, co zasadniczo mocno nie podobało się Stanom Zjednoczonym. Jednak główne odium opinii amerykańskiej zwróciło się przeciw Niemcom.

Są to wszystko epizody niewątpliwie bardzo znamienne, ale poza niemi kryją się głębsze przyczyny antagonizmu. Jedną z głównych jest współzawodnictwo gospodarcze o rynki światowe. Rozwija się ono głównie między Anglią, Stanami Zjednoczonemi a Niemcami, inne kraje bowiem zajmują podrzędniejsze miejsce. Ale Anglia nie zwraca ku sobie szczególnej zawiści Stanów Zjednoczonych. W walce tej zajmuje ona stanowisko defenzywne. Chce utrzymać to co posiada, nie bardzo marzy o nowych zdo-

byczach. Jest to szanowna stara firma, która dba przedewszystkiem o swoich dawnych klientów. Natomiast zarówno Niemcy, jak i Stany prowadzą zdobywczą politykę handlową. Ich handel zagraniczny bardzo szybko wzrasta. W r. 1875 eksport z Niemiec wynosił 2491 milionów marek, ze Stanów Zjednoczonych 499 milionów dolarów. Natomiast w r. 1913 eksport z pierwszego z tych krajów przekroczył sumę 10 miliardów marek, z drugiego wynosił 2428 milionów dolarów. Ten ogromny wzrost zawdzięczają zarówno Niemcy, jak i Stany, bardzo wytężonemu współzawodnictwu. Toczą zawziętą walkę o rynki handlowe. Spotykają się zawsze, gdy tylko otwiera się gdzieś nowy kraj dla handlu i depczą sobie po piętach w pogoni za odbiorcami. Nic dziwnego, że to współzawodnictwo budzi wzajemną zawiść, podnieca chęć przewyższenia przeciwnika. Co więcej, na tem tle wyrastają polityczne obawy i podejrzenia. Stany Zjednoczone posądzają Niemcy o zamiary zdobywcze. Nie miały sposobności stwierdzić u Rzeszy niemieckiej szczególnego poszanowania dla doktryny Monroego. A jest jeden punkt, ku któremu zwracają się pożądliwe oczy Niemiec, o czem dobrze wiedzą Stany Zjednoczone. Sprawa ekspanzyi Niemiec w południowej Ameryce, szczególnie w południowych stanach Brazylii, jest jednem z największych źródeł antagonizmu.

Jest to już dawna idea, rozwinięta otwarcie przez Niemców. Już Fryderyk List wykazywał, że Niemcy, osiedlając się w Ameryce Środkowej i Południowej, zdołają tam zachować swoją narodowość i przynieść wielkie korzyści swojej ojczyźnie. Produkcya tych krajów tropikalnych przyda się dla wymiany z Niemcami. Chodzi o to, by pokierować umiejętnie tą emigracyą, zorganizować ściśle stosunki między krajem macierzystym a zamorskiemi koloniami. List domagał się poparcia tej organizacyi wychodźtwa przez państwo. Podobne poglądy wypowiadał inny znakomity ekonomista niemiecki, W. Roscher, wykazując obszernie narodowe korzyści emigracyi do Południowej Brazylii. Widział w niej stosunkowo najlepsze zabezpieczenie wychodźców przed wynarodowieniem. A zaś w zaraniu XX. wieku G. Schmoller zupełnie wyraźnie powiedział, jakie są niemieckie plany: „Musimy życzyć sobie za wszelką cenę, by w nadchodzącem stuleciu powstał w południowej Brazylii kraj niemiecki, liczący 20—30 milionów Niemców; bez względu na to, czy on zostanie częścią Brazylii, czy też

w ściślejsze stosunki wejdzie z naszem państwem, rozwój tego kraju jest zagrożony, jeśli nie będzie połączenia z nim, trwale zabezpieczonego przez okręty wojenne, jeśli nie będzie możliwości wyraźnej interwencyi ze strony Niemiec". Niemcy w południowej Brazylii istotnie rozwijali bardzo żywą działalność. Wiedzą coś o tem i nasi wychodźcy w Paranie. Swem zachowaniem się rozbudzili podejrzliwość rządu brazylijskiego, który choć z początku widział chętnie emigracyę niemiecką, zaczął później popierać żywioł włoski, jako bardziej podatny do asymilacyi. Następnie na Brazylię i wogóle południową, a także i środkową Amerykę zwróciła szczegółową uwagę niemiecka przedsiębiorczość i niemiecki kapitał. Od początków XX. wieku eksport kapitału z Niemiec do tych krajów przybrał ogromne rozmiary. Widoczna była tendencya, by prócz gospodarczych bezpośrednich korzyści uzyskać także i polityczne wpływy. To też tylko człowiek zupełnie obcy nowoczesnemu życiu gospodarczemu, mógł widzieć w zerwaniu stosunków z Niemcami przez Guatemalę lub Uruguay coś operetkowego. Wchodzą tu w grę bardzo poważne interesy, chwieją się podstawy długoletniej i wytrwałej pracy niemieckiej.

Stany Zjednoczone objawiały wiele objektywnego zrozumienia dla trudnego położenia Niemiec. Wiedziały o tem, że przedsiębiorczość niemiecka nie ma się gdzie pomieścić, że Niemcy mają nadmiar ludności, wielką produkcyę a brak własnych posiadłości kolonialnych, dostarczających surowców. Wiedziały o tem, że przy najbliższej sposobności Niemcy będą chciały ten stan naprawić i że wojna z ich strony musi mieć charakter zdobywczy, inaczej nie miałaby żadnej racyi. Mimo to, a raczej dlatego pilnie baczyły Stany, by ekspanzya niemiecka nie weszła w drogę ekspanzyi północno-amerykańskiej. A przedewszystkiem, w myśl doktryny Monroego, nie pozwoliłyby ani na chwilę Stany Zjednoczone, by plany Lista, Roschera, Schmollera i innych miały przybrać rzeczywiste kształty. Było już jasnem na długo przed obecną wojną, że każda interwencya Niemiec w południowej lub środkowej Ameryce oznacza dla nich konflikt zbrojny ze Stanami.

Było więc dosyć źródeł zatargów i wzajemnej nieufności, pokrywanej przez łatane roboty dyplomatyczne, na długo przed wojną. Mimo to trudno było przypuścić, by te antagonizmy miały doprowadzić w najbliższej przyszłości do wojny między Stanami

a Rzeszą niemiecką. A nawet gdy wybuchła wojna europejska, przez długi czas wydawało się czemś nieprawdopodobnem, by miały wziąść w niej udział Stany Zjednoczone. Cele, do których dążyły wbrew Niemcom, mogły spokojnie osiągnąć bez wojny. Były tym trzecim, który korzysta, gdy się dwóch bije, zajmowały stopniowo rynki, z trudem zdobyte przez Niemców, robiły kolosalne interesy na dostawach wojennych, spłacały stopniowo długi europejskie. Było wiadomem, że państwa europejskie w każdym razie z tej wojny wyjdą bardzo osłabione i że żadne z nich nie będzie marzyło o naruszeniu doktryny Monroego. To też czysto materyalnymi względami niepodobna wytłómaczyć udziału Stanów w wojnie. Dowodzi on, że czynniki polityczne, narodowe, są silniejsze w takich sprawach od gospodarczych i że ta zasada stosuje się także do krainy dolara. Zupełnie fałszywie pzzedstawia się społeczeństwo północno-amerykańskie jako zbiorowisko ludzi, którzy gonią za złotem i o czem innem zupełnie nie myślą. Istotnie, wiele złota wytwarza się w Stanach, ale również wytwarza się tam wiele idei. Słołeczeństwo północno-amerykańskie odznacza się przedewszystkiem rozbudzonem poczuciem narodowem, wrażliwem pojmowaniem honoru narodowego i żywem zrozumieniem zasad prawnych. Te właśnie kwestye, narodowe i polityczne, skłoniły Stany do tego, by zamiast robić nadal złote interesy, rzuciły wszystko w wir wojny.

Jednym z głównych czynników, który w ostatnich czasach niesłychanie zaostrzył stosunki między Stanami Zjednoczonemi a Niemcami, była sprawa tak zw. „*Deutsch-Amerikaner*". Immigranci niemieccy byli żywiołem, zawsze chętnie widzianym w Stanach ze względu na swoje zawodowe kwalifikacye, pracowitość, systematyczność i zamiłowanie do spokojnego życia, zdala od burzliwej amerykańskiej polityki. Stali się ze względu na swoją liczbę, jednym z głównych elementów ludności napływowej. Przesadną może jest cyfra 5 milionów, którą podaje niemiecki geograf K. Dove jako liczbę immigrantów z Niemiec, czyli 26% ogólnej immigracyi w latach 1821—1900, ale w każdym razie udział ich jest bardzo poważny. Niemcy amerykańscy mieli jeszcze jedną zaletę, bardzo pożądaną z amerykańskiego punktu widzenia: asymilowali się bardzo szybko i pod tym względem n. p. Roosevelt stawiał ich za wzór innym żywiołom napływowym. Pod tym wzglę-

dem coś się zmieniło w ciągu wojny europejskiej. Niewiadomo, czy narodowa wojna Niemiec, w której rozstrzyga się ich los, rozbudziła usypiające już uczucia narodowe współzasymilowanych Niemców, czy też na czoło wysunęły się żywioły, obce jeszcze amerykańskiemu społeczeństwu; dość, że Niemcy amerykańscy stali się bezwzględnymi orędownikami sprawy niemieckiej w Stanach Zjednoczonych. Zjawiły się niebardzo taktowne niemieckie publikacye, które sławiły niemiecki patryotyzm owych bądź co bądź obywateli lub stałych mieszkańców Stanów Zjednoczonych, i wyliczały ich zasługi, położone dla wspólnej sprawy w czasie wojny. Rozpoczęła się gorączkowa agitacya, oparta o sukurs finansowy, płynący z zewnątrz, na rzecz interesów niemieckich w Stanach, prowadzona przez „*Deutsch-Amerikaner*". Gdy prezydent Wilson popadł w zatargi z Rzeszą niemiecką, próbowano go obalić, w każdym razie uczynić niepopularnym. Otóż na to wszystko ani prezydent, ani żaden odpowiedzialny amerykański patryota nie mógł pozwolić.

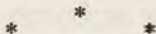
Patryotyzm „Yankesów", jakkolwiek jeszcze bardzo młody, ma tę cechę charakterystyczną, bez której nie ma wogóle zdrowego patryotyzmu, że jest uczuciem i przekonaniem niepodzielnem. Kto chce być amerykańskim obywatelem, musi się wyrzec uroczyście związków, które go łączyły z dawnem państwem i dawnym krajem, musi przejąć się w całości ideałami amerykańskimi. W razie konfliktu z jakimś obcym narodem, musi stanąć bezwzględnie solidarnie po stronie nowej ojczyzny, choćby to był najostrzejszy konflikt z jego dawną ojczyzną. Amerykanie nie chcą znać Amerykanów za wypowiedzeniem i pod tym względem różnią się od istniejących tu i ówdzie patryotów w Polsce, według których można być Polakiem za wypowiedzeniem. Takimi są bowiem „zasymilowani Polacy mojżeszowego wyznania", a nawet już bez tego wyznania, którzy pochwalą każdy objaw polskiego patryotyzmu, byle ten patryotyzm nie zwracał się przeciwko żydom. Amerykanie wymagali, by także Niemcy z pochodzenia, równie silnie jak inni, umieli wystąpić przeciw Niemcom, a prowadzoną przez nich agitacyę filoniemiecką uważali za objaw rozkładu, groźny dla duchowej całości narodowej Stanów. Na tem stanowisku stanął demokrata Wilson, pod tym hasłem prowadził agitacyę wyborczą jego republikański kontrkandydat Hughes; kto wie, czy ta agita-

cya nie kazała widzieć w wojnie środka przeczyszczającego atmosferę, który radykalnie wytępi odśrodkowe uczucia i wzmocni ogólny narodowy patryotyzm.

W każdym razie agitacya Niemców amerykańskich osiągnęła skutki, wręcz przeciwne zamierzonym. Nastrój opinii przeciw Niemcom zwróciły także i inne momenty. Od samego początku sprawa niemiecka była w Stanach Zjednoczonych niepopularną z powodu naruszenia neutralności Belgii. Dowodem tego jest niezwykle wydatna pomoc materyalna, z którą temu małemu krajowi pospieszyło społeczeństwo amerykańskie. Amerykanie nie mają jeszcze wielkiej przeszłości. Nie nauczyli się oni jeszcze sceptycznego traktowania wszelkich układów międzynarodowych. Uważali je za coś, co należy szanować, zwłaszcza w stosunku do słabszego. Nastrój antyniemiecki podniecała jeszcze niemiecka otwartość i „*Schneidigkeit*", z jaką na wszystkie strony głosiły Niemcy: „*vae victis*". Już Anglicy postarali się o to, by te wszystkie głosy doszły do każdego zakątka Stanów Zjednoczonych, podobnie jak umieli rozpowszechniać pisma wojenno-polityczne generała Bernhardiego w milionach egzemplarzy. Głównym jednak źródłem zatargów stała się sprawa łodzi podwodnych.

Zasadniczy punkt widzenia Stanów Zjednoczonych był ten, że ich obywatel ma nienaruszalne prawo jeździć spokojnie pasażerskimi okrętami, w razie ich torpedowania winno być, zgodnie z dotychczasowem prawem wojny morskiej, zabezpieczone jego osobiste życie. Od tego poglądu nie zdołano Stanów odwieźć w żaden sposób. Nie zdały się na nic perswazye, że chodzi tu o kwestyę żywotną dla Niemiec, że wobec tego na plan dalszy muszą zejść wszelkie skrupuły dawnego prawa międzynarodowego. Nie chciał się rząd amerykański zgodzić na kompromisowe załatwienie sprawy, zabezpieczające pod wspólną kontrolą swobodny bieg niektórym okrętom. Upierał się przy zasadzie. Nie zadowalniały go projekty odszkodowania pieniężnego za utracone życie Amerykanów, nie chciał on widocznie tej sprawy rozpatrywać z pieniężnego punktu widzenia, jakkolwiek chodziło tu o Yankesów. Sprawa „Lusitanii" wywarła kolosalne wrażenie. Już wtedy weszły stosunki z Niemcami w stadyum bardzo ostre. Że do wojny przyszło dopiero o wiele później, to zawdzięczać należy kunktatorskiej polityce niemieckiej, która za wszelką cenę chciała uni-

knąć wojny i czyniła coraz to nowe przyrzeczenia; również i Wilson chciał wojny uniknąć i chwytał się każdej iskry nadziei, by tylko doprowadzić do porozumienia. Gdy jednak zapowiedź zaostrzonej walki łodziami podwodnemi z dniem 2. lutego 1917 r. zrozumiał jako cofnięcie się Niemiec z raz zajętego stanowiska, jako złamanie poprzednich umów, wystarczyło to wszystko, by ten profesor-pacyfista przeobraził się w najzaciętszego agitatora wojennego, zwolennika hasła wojny do ostateczności. Znana afera meksykańska i inne podobne afery były już tylko następstwem zerwania stosunków z Niemcami, opublikowanie tych różnych układów i depesz miało na celu tylko rozbudzenie nastroju wojennego.



Jaki charakter przybierze wojna w Stanach Zjednoczonych? Czy one naprawdę zechcą prowadzić tę wojnę? By zdać sobie sprawę z tego, jak się ta rzecz rozstrzygnie, trzeba uświadomić jakie przekonanie Stany Zjednoczone mają w własnych siłach, jak daleko sięgają ich ambicye. Każdy kto się zetknął z jakiemkolwiek nowem społeczeństwem, musiał zauważyć, że ono jest niesłychanie dumnem i ufnem we własną wartość i własne siły. Ta ufność, bardzo często zarozumiałość, przybiera czasami śmieszną postać. Nie każdy jest skłonnym, by uznać Rio de Janeiro lub Melbourne za jedno z centrów świata. Nie brak śmiesznych objawów i w Stanach Zjednoczonych. Stany jednak opierają swoją ufność i przekonanie o własnej wyższości na materyale statystycznym. Mniej czasami wrażliwi na czysto duchowe wartości, których niepodobna zmierzyć i ważyć, cieszą się osiąganiem rekordu w bardziej uchwytnych materyalnych dziedzinach. Wszystko, co robią, chcą robić ną większą skalę, gdyż wogóle ich życie społeczne i gospodarcze rozwija się na bardzo wielką skalę. Na każdym kroku ożywia Yankesów duch współzawodnictwa, chęć, by to co robią, było *„biggest in the world“*. Chwalą się n. p. Niemcy wielkim przyrostem ludności, powołując się na to, że roczna nadwyżka urodzin nad zgonami dochodzi 800.000 jednostek; Stany Zjednoczone wskazują, że ich ludność w dziecięcioleciu 1900—1910 wzrosła o okrągło 16 milionów. Produkcya węgla kamiennego

wynosiła w 1911 r. 276 milionów ton w Wielkiej Brytanii, 234 w Niemczech, a 450 milionów w Stanach Zjednoczonych. W roku 1910 W. Brytania wyprodukowała 15 milionów ton rudy żelaznej, tyleż Francya, Niemcy 23 miliony, Hiszpania 8 milionów, a Stany Zjednoczone — prawie 58 milionów. Szczycą się dalej Stany Zjednoczone tem, że ich produkcya nafty stanowi z górą 62% produkcyi całego świata, produkcya rudy cynkowej przewyższyła już przedtem bezwzględnie najobfitszą na świecie produkcyę niemiecką. Produkcya miedzi w Stanach Zjednoczonych wyniosła w 1912 roku 566 tysięcy ton, w Niemczech 45 tycięcy, w W. Brytanii 62 tysięcy. Powołując się na te cyfry, są Amerykanie przekonani, że nic im się nie oprze, że przeznaczeni są na to, by bezwzględnie zająć pierwsze miejsce w świecie.

Szczególną dumą otaczają swoje metody wytwórcze. Północno-amerykańska metoda pracy zasadza się na jak najintenzywniejszem i najbezwzględniejszem wyzyskaniu materyału produkcyjnego i sił ludzkich. Nic nie znaczy tradycya, nabyta rutyna, wciąż dąży się do coraz to nowych ulepszeń i postępów. Przedewszystkiem każdą wytwórczą działalność zakłada się na olbrzymią skalę, wyzyskując wszelkie zalety systemu maszynowego i koncentracyi sił wytwórczych. Fabryka automobilów Forda, który rok temu wybrał się z głośną propagandą pacyfistyczną do Europy, wyrabia obecnie, oczywiście głównie na potrzeby wojskowe 3200 automobilów dziennie; w fabryce tej pracuje tylko 41.000 robotników. Tak dalece w tej tak skomplikowanej gałęzi wytwórczości umiano zużyć siły mechaniczne i zastąpić niemi ludzką pracę. Inną cechą amerykańskiej metody pracy jest niesłychana jej rzutkość organizacyjna i szybkość wykonania. Amerykanie szczycą się tem, że potrafią zbudować 1000 km linii kolejowej w czasie, w którym w Europie nie zbuduje się ani jednej dziesiątej tej liczby. Wszystko, co się robi, wykonuje się z wielką planowością. Dom amerykański nie wznosi się zwolna od podstaw, lecz po zbudowaniu jego żelaznego szkieletu wypełnia się go z błyskawiczną szybkością przygotowanym już z góry materyałem. Jest połączona z tem pewna rozrzutność w szafowaniu materyałem, niedbałość o życie i zdrowie ludzkie, bezwzględność w stosunku do pracowników; ale nie można zaprzeczyć szybkości wykonania i ogromu dokonanego dzieła.

Mógłby jednak ktoś powiedzieć, że na podstawie tych właściwości gospodarczych niepodobna niczego wnioskować o sposobie prowadzenie wojny. Ale przecież wojna dzisiejsza jest w bardzo wielkim stopniu wojną gospodarstwa i techniki. A przytem pewien duch wojenny cechował zawsze życie polityczne i gospodarcze Stanów. Amerykanie są społeczeństwem niesłychanie aktywnem, tylko że ich aktywizm jest bardziej skuteczny, aniżeli naszych aktywistów. Działalność gospodarczą pojmują raczej jako współzawodnictwo, aniżeli jako współdziałanie. Przedsiębiorca zmierza prosto do celu, którym jest zgnębienie przeciwników, uzyskanie „kontroli“ w danej gałęzi produkcyi. Nie przebiera w środkach walki. Bardzo smutnych przykładów tej walki dostarcza nam historya trustów. To też wojna jest dla Amerykanów jednym z rodzajów walki na wielką skalę, „maszyna wojenna“ jest czemś, co ma udowodnić ich wyższość organizacyjną i techniczną, być najlepszą reklamą dla ich ducha przedsiębiorczego.

A wreszcie trzeba sobie uświadomić, że Stany Zjednoczone rzuciły na kartę rozstrzygnięć wojennych bardzo wiele, więcej nawet niż niejedno państwo europejskie. Mogłoby się to wydawać dziwnem, bo przecież Stanom Zjednoczonym nie grozi inwazya, nie znajdą się one pod rządami okupacyjnymi, ale niemniej tak jest rzeczywiście. Niejeden kraj europejski może usprawiedliwić swój udział w wojnie gorączką wojenną, lub nieodzowną koniecznością zmierzenia swoich sił z odwiecznym wrogiem. Stany Zjednoczone wkroczyły po długim namyśle, w trzecim roku wojny. Nie miały odwiecznych wrogów, z którymi musiałyby bezwarunkowo walczyć. Wystąpiły w roli sędziego, rozjemcy, rozstrzygającego w myśl pewnych ogólnych zasad prawnych. Ich autorytet byłby gruntownie wstrząśnięty, gdyby nie zdołały przeprowadzić wypowiedzianych przez siebie idei. Pomijając już skutki finansowe i gospodarcze, Stany Zjednoczone straciłyby powagę wobec szeregu innych państw amerykańskich, którym usiłują przewodzić. Przegrana wojna oznacza dla nich gruntowne kryzysy wewnętrzne.

Niepodobna więc pocieszać się nadzieją, że Stany Zjednoczone wejdą do tej wojny w charakterze komandytowego wspólnika, który wkłada do spółki tylko pewien kapitał i do jego wysokości odpowiada za zobowiązania. Wszystko wskazuje na

to, że wchodzą one do tej wojny z naprawdę nieograniczoną odpowiedzialnością. Niepodobna się łudzić, by ten lub inny z uczestników skończył wojnę, nie rzuciwszy do niej wszystkich swoich sił. Dzisiejsza wojna jest jakimś straszliwym mechanizmem, który wciąga w swój wir wszystkich i nie pozwala im zatrzymać się w połowie drogi. Sytuacya wojenna w roku 1917 rozwijała się pod znakiem rewolucyi rosyjskiej i jej militarnych skutków. W wojnie w roku 1918 w coraz silniejszym stopniu zaznaczać się będzie udział Stanów Zjednoczonych. Czy także jeszcze w roku 1919, o tem dziś nic nie można powiedzieć.

Roman Rybarski.

Stosunki narodowościowe w Wielkopolsce w chwili zaboru i początkach rządów pruskich.

Departament poznański.

Większa część luterańskiej ludności, znajdującej się jeszcze za Rzeczypospolitej na obszarze późniejszego departamentu poznańskiego, skupiona była w miastach, inaczej niż w północnych i północno-zachodnich okolicach Wielkopolski, gdzie przeważała wśród luteran ludność wiejska. Według danych, zebranych przez rząd pruski na skutek wydanego przezeń w 1793 r. kwestyonaryusza („*Indaganda oder Topographisch-statistische Fragen über den Zustand und die Beschaffenheit der Städte*“), w 47 miastach i miasteczkach, z których dwa (Grabów i Kobylagóra) należały następnie do departamentu kaliskiego, 45 do poznańskiego, było katolików 31.141, ewangelików obu wyznań (luteran i kalwinów) 28.768, żydów 14.697, razem ludności 74.606 (bez Grabowa i Kobylejgóry 73.917). Wykazem tym objętych jest tylko 37% wszystkich (120) miast departamentu poznańskiego, ale przeszło połowa całej ludności miejskiej, jaka w owym czasie — 1793, ewentualnie 1794 r. — być mogła w danej części kraju. Wśród miast, znajdujących się w wykazie, są właśnie największe i mające też najwięcej ewangelików, a więc Rawicz, Wschowa, Leszno, Zduny, Bojanowo, Rogoźno, Poznań.

	1793 ewent. 1794 r.	
	ewangelicy	ludność ogólna
Rawicz	5411	7290
Wschowa	3112	4579

	1793 ewent. 1794 r.	
	ewangelicy	ludność ogólna
Leszno	3095	6820
Zduny	2689	3481
Bojanowo	2350	2576
Rogoźno	833	2950
Poznań	2033	12538

Mniejsze miasta i miasteczka o silnym udziale — najczęściej większości — ewangelików, były: Kobylin, Poniec, Rakoniewice, Rydzyna, Rostarzewo, Sandberg, Zaniemyśl, Sarnowa, Szlichtyngowa, Szmigiel, Osieczna.

Nieznaczne liczby ewangelików (od 100 do 250) były w następujących miastach: Koźmin, Grodzisk, Kurnik, Miłosław, Murowana Goślina, Książ. W miastach tych ludność ewangelicka stanowiła mniejszość (w Koźminie i Grodzisku zgoła nieznaczną) nietylko w stosunku do ludności ogólnej, ale i do katolickiej. Wcale ewangelików nie było, lub tylko znikome ich znajdowały się liczby w miastach dwudziestu, więc blisko połowie wszystkich miast departamentu poznańskiego, uwzględnionych w wykazie. Były to jednak przeważnie miasteczka małe; powyżej 1000 mieszkańców miały tylko: Borek, Gostyń, Kościan, Środa, Święciechowa.

Prawie wszystkie miasta z większą ilością ewangelików, wymienione powyżej, znajdowały się w blizkości Śląska. Brakuje jednak około 20 miast, nieobjętych wykazem, a położonych przeważnie w pobliżu Brandenburgii, o których wiadomo, iż miał w nich miejsce silniejszy lub słabszy poreformacyjny napływ obcokrajowców, iż powstawały w nich protestanckie zbory — najczęściej jednak rychło upadające — a w końcu XVIII. wieku istniał pewien przemysł. Z miast tych znaczniejszemi były tylko: Międzyrzecz (w 1800 roku 2369 chrześcijańskiej ludności cywilnej i 941 żydów) [1]), Skwierzyna (1800 r. 2068 chrześcian, 906 żydów), Krotoszyn (1800 r. 2378 chrześcian, 1701 żydów). Inne, więc: Zbąszyń, Międzychód, Babimost, Brojce, Kargowa, Kopanica, Wartosław, Nowy Tomyśl, Obrzycko, Trzciel, Wolsztyn, Wronki, Ostroróg, Szamotuły, Swarzędź, Skoki, Witkowo, Jutroszyn, Górka

---

[1]) Holsche, *„Geographie and Statistik von West-, Süd- und Neu-Ost-Preussen“* 1804. Tom II.

Miejska, Zaborowo — miały przeważnie poniżej tysiąca ludności chrześcijańskiej (najliczniejszą była ona w Międzychodzie: 1516 dusz, i Trzcielu: 1588 dusz). Razem wszystkie miasta powyższe (z Międzyrzeczem, Skwierzyną i Krotoszynem) liczyły 26.831 mieszkańców chrześciańskich w 1800 r. (według Holsche'go), zatem w 1793 r. — odliczywszy przyrost naturalny i napływ — około 23 tysięcy; przyjmując, iż $^2/_3$ tej liczby było ewangelików, otrzymamy ich około 15 tysięcy. Łącznie z ewangelikami miast, objętych najwcześniejszym wykazem pruskim, byłoby ludności protestanckiej niespełna 44 tysięcy, że zaś w tej liczbie mieści się także ludność — przedewszystkiem urzędnicza — która napłynęła do miast, uwzględnionych w wykazie, zaraz w pierwszym roku rządów pruskich, więc można śmiało dla wszystkich miast w chwili zaboru na obszarze późniejszego departamentu poznańskiego liczyć protestantów, a już w każdym razie luteran, nie więcej nad 45 tysięcy.

Ludności wiejskiej luterańskiego wyznania mogło być niewiele ponad 30 tysięcy [1]). Częściowo rozproszona ona była, podobnie jak w kraju nadnoteckim, po wsiach katolickich, w których znajdowali się częstokroć luteranie pośród uprzywilejowanych kategoryi ludności wiejskiej. Wyznania luterańskiego byli też często różni rzemieślnicy wiejscy, a zwłaszcza tkacze. U Holsche'go w rubryce „*Hausleute und Einlieger*" (ludność wiejska), obejmującej, jak sądzić można z zestawienia ze statystyką z 1810 r. dla Księstwa Warszawskiego, służbę domową, po części zapewne i folwarczną (stałą), oraz wyrobników, mieszkających „kątem" po chałupach, — podanych jest dla departamentu poznańskiego w 1800 r. 14985 głównych osób, a więc liczba stosunkowo wysoka. Holsche dodaje, iż większą część tej ludności stanowili tkacze (*Woll- und Garnspinner)*, lecz uwaga ta słuszną była odnośnie tylko do niektórych okolic, głównie zachodnich, gdzie zwłaszcza w t. zw. Holendrach ludność trudniła się tkactwem w większych rozmiarach. Przeważnie zaś wyrobnicy wiejscy, tak samo w departamencie poznańskim, jak w kaliskim i warszawskim, dostarczali najmu dla

---

[1]) Cała ludność luterańska w chwili zaboru na obszarze departamentu poznańskiego (w granicach z 1796 r.) wynosić będzie około 75 tysięcy, skoro od liczby luteran w 1801 roku: 115.822 dusz odejmiemy znaczny napływ, jaki miał miejsce od 1793 do 1801 roku: 30 do 35 tysięcy dusz (patrz „Rok Polski" 1917, Nr. 7—8, str. 60) oraz przyrost naturalny (12°/₀₀) w odnośnym międzyczasie.

folwarków i większych gospodarzy, oraz robotnika dla karczowania lasów, bicia dróg, czyszczenia rzek i t. p. Takiej właśnie robotniczej ludności niewątpliwie dużo napłynąć musiało w pierwszych latach rządów pruskich, i to szczególnie do departamentu poznańskiego, gdzie roboty melioracyjne, regulacyjne i t. d. prowadzone były najintenzywniej.

W każdym razie, o ileby nawet liczba wiejskich tkaczów ewangelików znaczniejszą była, to szukać ich należy głównie we wsiach luterańskich, t. j. w „Holendrach". Omawiając osadnictwo poreformacyjne w północnej części Wielkopolski (kraj nadnotecki) rozróżnialiśmy dwa jego typy: wsie emfiteutów, albo sołeckie, i Holendry [1]). Pierwszego typu wsi na obszarze późniejszego departamentu poznańskiego powstało zaledwie kilka — w dzisiejszych powiatach obornickim i szamotulskim i w okolicach Rawicza — szybko natomiast mnożyły się Holendry, zwłaszcza pod koniec XVII. i w początkach XVIII. wieku. Pojawiły się one później niż nad Wisłą (w bydgoskiem) i nad Notecią, a od pierwotnego ustroju wsi tego typu oddalały się coraz bardziej: wzrastała w nich władza sołtysa, jako pańskiego urzędnika, kosztem samorządu gminy. Liczne były szczególniej osady holendrów na wschód od Obry, założone w okolicach lesisto-bagnistych na przestrzeni obecnych powiatów Nowy Tomyśl, Babimost, Grodzisk. Sporo Holendrów spotykało się też w skwierzyńskiem, międzychodzkiem, międzyrzeckiem (we wschodniej połowie dzisiejszego powiatu), w szamotulskiem, także w okolicy, gdzie stykają się obecnie trzy powiaty: wągrowiecki, obornicki i gnieźnieński. Rzadszemi już były holenderskie osady w dzisiejszych powiatach Śrem i Środa, a pojawiły się tu dopiero w połowie XVIII. wieku, jeszcze później i także zrzadka w jarocińskiem, bardziej ku południowi nie było ich prawie wcale. W XVIII. wieku holendrzy przeważnie karczowali lasy sosnowe na piaszczystych gruntach, pszenicy nie uprawiali wcale, inne zboża dawały plon bardzo lichy [2]). To też rolnictwo nie było bynajmniej głównym środkiem do życia i zajęciem holendrów; uprawiali oni różne przemysły drzewne, zajmowali się pszczelnictwem, wychowem bydła, trzody, głównie zaś owiec (zwłaszcza w obecnych powiatach Nowy

---

[1]) „Rok Polski" 1916 Nr. 10, 1917 Nr. 1. Z. Kirkor, „Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich".

[2]) Er. Schmidt, „*Geschichte des Deutschtums im Lande Posen*" 1904.

Tomyśl i Babimost), oraz — jak mówiliśmy już powyżej — trudnili się tkactwem.

Według Er. Schmidta [1]) miałoby być na obszarze departamentu poznańskiego ponad 250 wsi holendrów, ale dane odnośne nie są należycie uzasadnione i niewątpliwie grzeszą tendencyjną przesadą. Wiadomo przytem, iż bywały Holendry katolickie [2]). Osady, powstające w XVIII. wieku i w lasach położone, rozwijały się gorzej od pierwszych wsi holenderskich, założonych na gruntach nizinnych, nadrzecznych. Stąd też w rozpatrywanej przez nas obecnie części Wielkopolski Holendry naogół nie były ludne i żyjącą w nich luterańską ludność przyjąć można conajwyżej w liczbie 25 tysięcy. (Korzon holendrów liczy 10 tysięcy dusz w całej Rzeczypospolitej po pierwszym podziale [3]), z pewnością jednak ta liczba jest zbyt niska). Resztę luteran wiejskich stanowiła ludność kilku wsi, pochodzących z osadnictwa poreformacyjnego, innego niż Holendry typu, oraz ewangelicka ludność, rozproszona po wsiach katolickich, wreszcie mieszkańcy tych nielicznych wsi, zaludnionych w dobie średniowiecznego niemieckiego osadnictwa, które przechowały w silniejszym czy słabszym stopniu charakter niemiecki do czasów reformacyi, co sprzyjało wprowadzeniu i utrwaleniu w nich takowej. Wsie takie, zasilone nadto napływem niemieckim poreformacyjnym, były w międzyrzeckiem: Bukowiec Schlichtyngów-Bukowieckich, Suchy Lutolek *(Dürlettel)* i Rogoziniec, należące do starostwa międzyrzeckiego, i inne. Także w ziemi wschowskiej przyjęło nową wiarę i pozostało przy niej trochę wiejskiej ludności, pochodzącej z średniowiecznego niemieckiego osadnictwa; obok luteran byli tu zresztą także kalwini.

Nietylko wśród kalwinów, ale i wśród luteran znajdowali się Polacy, chociaż stosunkowo wiele rzadziej. Mówiliśmy już o tem, jako poreformacyjny napływ, którego głównem źródłem — obok Czech i Moraw — był Śląsk, obejmował także i polską ludność luterańską [4]). W epoce rozszerzania się reformacyi w Wielko-

---

[1]) *„Geschichte des Deutschtums im Lande Posen“.*

[2]) Beheim-Schwarzbach, *„Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens“.* Stenger, *„Die Hauländer in Südpreussen“.* Fr. Guradze, *„Der Bauer in Posen“.*

[3]) „Wewnętrzne dzieje Polski...“ Tom I. Tabl. 62.

[4]) „Rok Polski 1916, Nr. 7. Z. Kirkor, „Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich“.

polsce, luteranizm przyjęło było trochę szlachty [1]) (skłaniającej się raczej ku wyznaniu helweckiemu) i bardzo licznie mieszczaństwo, tak polskie z pochodzenia, jako też dawniej niemieckie, lecz w owym czasie najczęściej już zupełnie spolszczone [2]). Na przestrzeni późniejszego departamentu poznańskiego było dwadzieścia i kilka polskich zborów augsburskich, z których wszakże tylko część przetrwała poza koniec XVI. wieku. Nawet w najsilniej — obok Skwierzyny — wysuniętym na zachód i podległym wpływom niemczyzny Międzyrzeczu był, aż do końca XVI. wieku, może i dłużej, polski zbór luterski (prócz niemieckiego), a w szkole polski nauczyciel. W Szmiglu był kaznodzieja polski w XVII. wieku, a jeszcze w drugiej tegoż połowie w Wolsztynie. Przetrwały też do początków XVII. wieku polskie zbory w Pogorzeli i Zerkowie. W Grodzisku i Miłosławiu znajdowały się jedne z ważniejszych polskich zborów luterańskich. Polskim był zbór rakoniewicki, którego kaznodzieja Bartłomiej Crossius, jako consenior augsburski w Wielkopolsce, podpisał sławny synod luterański polski w Miłosławiu w 1607 r.; w 1775 r. był w Rakoniewicach kaznodzieja Kuczewski [3]). W Kurniku, Rydzynie, Międzychodzie, Zbąszynie istniały także, choć krótko, polskie zbory. W Poznaniu była zupełnie oddzielna polska gmina luterska obok niemieckiej, choć nabożeństwa odprawiane były w jednym kościele; po tegoż ostatecznem zburzeniu przeniosły się zbory poznańskie do Swarzędzia, gdzie zresztą już i przedtem odbywały się polskie luterańskie nabożeństwa. Zbór polski w Swarzędziu przetrwał, jak się zdaje, do wojny szwedzkiej [4]).

---

[1]) Do upadku Rzeczypospolitej pozostali przy luteranizmie Unrugowie, Schlichtyngowie, Dziembowscy, Bronikowscy i trochę innych; za rządów pruskich rodziny te częściowo zniemczyły się.

[2]) Wśród polskich kaznodziejów, rektorów, superintendentów, augsburskiego wyznania, w XVI. wieku i w następnych, wielu miało nazwiska o brzmieniu niemieckiem, ze sławnymi Glicznerami, zasłużonymi wielce dla polskości Krumbholtzami i Gerlachami na czele.

[3]) Fr. Stäsche, „*Kleinstädtebilder aus Rakwitz und Grätz*", *Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen* XIV.

[4]) Łukaszewicz, „Opis historyczuy kościołów parochialnych dawnej djecezji poznańskiej" 1858—1863. Werner-Steffani, „*Geschichte der evangelischen Parochien in der Provinz Posen*" 1898. W. Krasiński, „Zarys dziejów reformacji w Polsce" (wyd. ks. Bursche, Warszawa 1903). H. Kleinwächter, „*Das älteste protestantische Kirchenbuch der Stadt Posen*".

W 1641 r. powstał zbór augsburski w Bojanowie, świeżo założonem przez Stefana Bojanowskiego dla napływających uchodźców śląskich [1]); nabożeństwa polskie miały tu miejsce, może z chwilową przerwą, conajmniej do końca XVIII. wieku. Bojanów stał się głównem ogniskiem polskiego luteranizmu, w tutejszej szkole kształciła się młódź szlachecka augsburskiego wyznania, podobnie jak kalwińska w gimnazyum leszczyńskiem. Łacina panowała w gimnazyum bojanowskiem, ale i język polski był prawie zawsze silnie uwzględniany, doszedł zwłaszcza do wielkiego znaczenia w drugiej połowie XVIII. wieku za sprawą Jana Krumbholtza (kaznodziei, później seniora, autora polskich podręczników, gramatyki, słownika) [2]).

Najdłużej utrzymał się zbór polski w Kargowie (Unrugowie), gdzie i za rządów pruskich obok kaznodziei niemieckiego pozostał polski. Podnieść tu znowuż należy, że małą liczbę miejscowości, w których w XVIII. wieku odbywały się polskie nabożeństwa luterańskie, przypisać po części trzeba brakowi polskich kaznodziejów. W luterańskim kościele w Wielkopolsce niemczyzna coraz silniejsze zyskiwała znaczenie i wpływ, co szło równolegle ze stosunkami-polityczno-społecznemi, z coraz zupełniejszem odepchnięciem protestantów od publicznego życia polskiego, z pogłębianiem się niechęci, nawet nienawiści wyznaniowych, przyczem polskość identyfikowała się z katolicyzmem, luteranizm zaś chylił się ku niemczyźnie coraz bardziej, aż do krótkotrwałego okresu reform pod koniec Rzeczypospolitej, które już złego naprawić nie zdołały.

Niemieckie nabożeństwa, niemieckie zwłaszcza szkoły i szkółki, nietylko przeszkadzały asymilacyi napływowego niemieckiego żywiołu, ale niewątpliwie jeszcze za polskich rządów nadawały pokost niemiecki luterańskiej ludności polskiej, mianowicie przybyłej

---

[1]) Jeden z pierwszych kaznodziejów w Bojanowie, Dawid Arnold, był autorem polskiej pieśni: „Wszechmocny Mocarzu“ i wydał polski ewangelicki kancyonał w Brzegu 1673 r.

[2]) Za rządów pruskich gimnazyum w Bojanowie upadło. Ostatnim jego rektorem zażywającym sławy był w początkach XIX. wieku Jan Gerlach (Polak). Programy szkolne w latach 1807, 1812 i 1815 wyszły tylko w języku polskim, naogół wychodziły w polskim i niemieckim (Theodor Wotschke, *„Das evangelische Provinzialgymnasium zu Bojanowo“, Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen“* XXII.

ze Śląska. Odbywał się jednak i proces odwrotny: niemieccy luteranie, rozproszeni po wsiach katolickich, oddalonych od zborów, lub osiedli w miastach o silnej katolickiej większości, zatracali swe cechy narodowe na rzecz polskości. Tembardziej w podobnych warunkach polską pozostawała ludność śląska, zatrzymująca polski swój narodowy charakter także tam, gdzie osiadała w większych skupieniach, a więc w Kargowie, zapewne i w Rakoniewicach, w Bojanowie, Zdunach, Krotoszynie i wogóle w południowej części Wielkopolski, graniczącej z czysto polskiemi okolicami Śląska. A że i cząstka luteran wielkopolskiego pochodzeuia wytrwała przy swem nowem wyznaniu aż do końca Rzeczypospolitej, więc niewątpliwy narzuca się wniosek, iż wcale znaczną część luterańskiej ludności w rozpatrywanej przez nas części kraju pod koniec XVIII. wieku stanowili Polacy. Jeśli w chwili zaboru w stosunku do ludności ogólnej było luteran 14%, to ludności wyznania augsburskiego, niemieckiej z pochodzenia i z języka, liczyć można do 12% conajwyżej.

Prócz paru większych miast przemysłowych nad granicą śląską, a więc przedewszystkiem Leszna, Wschowy, Rawicza, silniej zniemczony był tylko zachodni kąt Wielkopolski, tworzący dzisiejsze powiaty międzyrzecki i skwierzyński. Niemieckość i luteranizm ugruntowały się tu nietylko w powstałych w XVII. i XVIII. wieku Holendrach, ale i we wsiach dawniejszych, zaludnionych w wiekach średnich przez osadników niemieckich, których potomków skwapliwie przyjmowana nowa wiara powstrzymała na drodze ku zupełnemu spolszczeniu. Silną placówkę luterańsko-niemiecką stanowił zwłaszcza Międzyrzecz z okolicą (kilka wsi należących do starostwa międzyrzeckiego oraz do Szlichtyngów-Bukowieckich). Naokoło tej placówki rozciągały się posiadłości klasztorów w Bledzewie i w Paradyzie, oraz probostwo pszczewskie. W XVI. wieku posiadłości klasztorne były także silnie zarażone reformacyą, a usilne jej zwalczanie już w końcu tegoż wieku równoznaczne było z podcinaniem niemieckich wpływów i żywiołu niemieckiego, pozostałego od czasów średniowiecznego osadnictwa, a popieranego przez opatów Niemców (ostatni niemiecki opat w Bledzewie, Baltazar Schade, zmarł w r. 1549; w tymże czasie nastał kres germanizacyi w klasztorze paradyskim). Nietylko wszakże w rozległych majętnościach obu wymienionych klasztorów i w innych miejscowościach katolickich, ale nawet w Mię-

dzyrzeczu i najbliższej jego okolicy, niemieckość bynajmniej nie była tak powszechną i silną, jak to lubią przedstawiać pisarze niemieccy [1]); polskość w XVI. i początkach XVII. wieku zajmowała tam niewątpliwie poczesne miejsce i utrzymała się niezmożona do upadku Rzeczypospolitej, znajdując oparcie przedewszystkiem w kościele katolickim [2]).

Z trzech po Poznaniu największych miast: Rawicza, Leszna i Wschowy, pierwszy miał w 1793 r. nietylko najznaczniejszą liczbę ludności ogólnej, ale także i ewangelickiej, najmniejszą zaś katolickiej (5411 ewangelików. 792 katolików, 1087 żydów). Był w Rawiczu luterański kościół, który Holsche w 1800 r. określa jako zbyt mały, dwóch kaznodziejów i luterańska szkoła (z 5-ciu nauczycielami w 1800 r.). Niemieckość w Rawiczu nie odgrywała jednak takiej roli. jak w pobliskich Lesznie i Wschowie, choć te o wiele mniej liczyły ewangelików. Oba te miasta, wraz z miasteczkiem Szlichtyngową, oraz z pewną liczbą wsi zniemczonych w silniejszym lub słabszym stopniu (głównie przez napływ protestancki), sprawiały, iż ziemia wschowska już za czasów Rzeczypospolitej do najbardziej zgermanizowanych jej kresów należała. Wschowa była miastem królewskiem i istnieje jej opis z 1783 roku przez Komisyę Dobrego Porządku („Stan miasta J. K. Mci Wschowy... w Lesznie 1783"); ludność starego i nowego miasta, dwóch przynależnych wsi i na jurydyce proboszczowskiej wynosić miała wówczas 1174 katolików, 4005 dysydentów, 301 żydów. W 1793 r. według danych, zebranych przez rząd pruski, było w mieście, na 3112 protestantów i 418 żydów, 1049 katolików. We Wschowie

---

[1]) Jeszcze przed średniowiecznem osadnictwem niemieckiem istniały w tych stronach wsie, które wprawdzie urządzone zostały później na prawie niemieckiem i otrzymały nawet w niejednym wypadku wraz z niemieckimi osadnikami nowe nazwy niemieckie, ale tubylcza ludność pozostała obok obcych przybyszów. Właśnie w najsilniej dziś zgermanizowanych zachodnich i północnych okolicach W. Ks. Poznańskiego zachowały się dotąd wsie — zamieszkane obecnie przez Niemców — o typowych formach starosłowiańskiego osadnictwa (Rud. Martiny wymienia szereg takich wsi, *„Formen der ländlichen Siedlungen in der Provinz Posen")*.

[2]) Wotschke, *„Die Geschichte der evangelischen Gemeinde Meseritz bis zu dem Verluste ihres Gotteshauses 1604"*. Danysz, *„Die katholische Pfarrkirche und der Magistrat in Meseritz von der Reformation bis 1774"*. Zachert, *„Chronik der Stadt Meseritz"*. Warminski, *„Geschichte des Klosters Paradies"*. Kronika Piotra Widawskiego w „Archiwum teologicznem" ks. Jabczyńskiego, Tom I. i II.

był zbór luterański, w starem mieście miejska luterańska szkoła łacińska, oraz 3 szkółki, mające jednak tylko 132 uczniów obu płci, w nowem mieście jedna szkółka z 24 uczniami zaledwie [1]). Mimo niewątpliwej we Wschowie przewagi żywiołu niemieckiego, miasto to odznaczyło się za Rzeczypospolitej patryotyzmem polskim, zwłaszcza podczas wojen szwedzkich, pozostając wierne królowi i Polsce, wbrew zachowaniu się ogółu protestantów i przykładowi sąsiedniego Leszna, srodze zresztą ukaranego za przeniewierstwo.

Leszno [2]) (Leszczyńskich, następnie Sułkowskich) powstało, podobnie jak Rawicz, Bojanowo i kilka mniejszych miast [3]), z napływu obcego, protestanckiego. Przechodziło Leszno ciężkie klęski, jednak po każdej z nich miasto podnosiło się, odbudowywało, ludność powracała. O wracających ze Śląska i z Nowej Marchii uchodźcach po pożarze z 1767 roku mówi współczesny niemiecki autor, iż przyzwyczajeni do „swobodniejszego życia w Polsce, nie mogli wytrzymać przymusu pod panowaniem pruskiem istniejącego". A jednak mimo swobody, zażywanej w Rzeczypospolitej, nie zawsze byli Lesznianie wiernymi jej synami. Przyczyną tego były stosunki wyznaniowe. W epoce wzmagającej się w Polsce nietolerancyi religijnej odgrywa Leszno wybitną rolę, jako miejsce narad i synodów, na których zapadają decyzye co do konszachtów z zagranicą, zwłaszcza z Berlinem, szczególnie łaskawym dla polskich kalwinów [4]). Nietylko wszakże na ówczesne mieszczaństwo ewangelickie, często niemieckie z rodu, ale i na polskie protestanckie rodziny szlacheckie spada zarzut stosunków ze stałym, aczkolwiek chwilami, ukrytym wrogiem Rzeczypospolitej. Gdy położenie protestantów w Polsce korzystnej uległo zmianie, nie wi-

---

[1]) Prümers *„Das Jahr 1793"*. Sprawozdanie o szkołach ewangelicko-luterskich w okręgu wschowskim z 5. grudnia 1793 r.

[2]) Stan. Karwowski, „Kronika miasta Leszna", Poznań 1877. Joh. Kvicsala, *„Des Comenius Aufenthalt in Lissa"*. Holsche- *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neu-Ost-Preussen"*. Łukaszewicz, „O kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce" i in.

[3]) Patrz „Rok Polski" 1916, Nr. 7. Z. Kirkor, „Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich".

[4]) Wielki Elektor ustanowił przy gimnazyum berlińskiem i uniwersytecie frankfurckim cztery miejsca wolne dla polskiej młodzieży kalwińskiej, która następnie w pruskiej służbie najczęściej pozostawała, rozpoczynając pokaźny z czasem szereg sprusaczonej protestanckiej szlachty polskiej.

dzą już Leszczanie jedynej ucieczki w Prusiech i Anglii, lecz spieszą po pomoc do Warszawy i otrzymują ją (od Komisyi Skarbu Koronnego po pożarze z 1790 r.). Zaś w 1792 r. składa Leszno dobrowolne ofiary na wojsko polskie, mające walczyć z protektorką dysydentów, Katarzyną II. Gdy wkroczyły wojska pruskie do Wielkopolski, Leszno zachowało się podobnie, jak inne miasta, nie lepiej, ale bodaj i nie gorzej. W rzekomo owacyjnem przyjmowaniu króla pruskiego, przejeżdżającego przez Leszno w 1793 r., wyróżnili się głównie żydzi [1]).

Holsche, opisując miasta departamentu poznańskiego w 1804 roku, mówi o jednem tylko Lesznie, iż jest zupełnie niemieckiem (*„in Lissa ist alles deutsch"*) i panują w niem powszechnie „śląskie" zwyczaje (t. j. niemiecko-śląskie). W tym wypadku był Holsche obserwatorem powierzchownym, podobnie jak inni Niemcy, wnioskujący o charakterze narodowościowym miast wielkopolskich, nie wyłączając Poznania, przedewszystkiem z niemieckiego ubioru mieszkańców; wiadomo zaś, iż strój niemiecki nosiło w owych czasach polskie także mieszczaństwo. Niewątpliwie niemieckość w Lesznie była silną, panowała zwłaszcza wśród wyższych warstw ludności, a od jej wpływów nie uchroniły się też warstwy niższe, w większości polskiego pochodzenia. Ale wyłącznie niemieckiem Leszno nie było, ani początkowo, ani w czasach późniejszych. Polski zbór helwecki w Lesznie powstał prawie jednocześnie z niemieckim, przestał zaś istnieć dopiero przez rozporządzenie rządu pruskiego z 1863 r., znoszące posadę polskiego kaznodziei (zbór czeski trwał tylko do końca XVII. wieku). Szereg znakomitych kaznodziejów polskich w Lesznie rozpoczyna Jan Muzonius, Polak z Łobżenicy, z późniejszych najsławniejszymi byli Andrzej Węgierski, dziejopis reformacyi w Polsce i znany pisarz Daniel Jabłoński, oraz kilku z rodziny Kassyuszów w początkach i końcu XVIII. wieku. Sławną była też w XVII. wieku drukarnia polska Braci Czeskich w Lesznie. Polskość w tem mieście, tak w zborze, jak i w gimnazyum kalwińskiem, w drugiej połowie XVII. i pierwszej XVIII. wieku chwilowo słabła, chwilowo znów się podno-

---

[1]) Chodziło zresztą Leszczanom o uzyskanie pomocy po niedawnym pożarze, o czem świadczył napis, umieszczony nad bramą, którą wyjeżdżał z miasta Fryderyk Wilhelm II. *(Bericht über die Durchreise des Königs durch Lissa, „Schlesische Zeitung"* 1793, Nr. 125).

siła, pod koniec zaś Rzeczypospolitej wzmogła się znakomicie i nawet po zaborze — wbrew temu, co pisał Holsche — utrzymywała się czas dłuższy [1]).

W 1793 r. według pierwszych danych pruskich było w Lesznie 734 katolików, 3095 ewangelików, 2991 żydów; w 1800 r, według Holschego — 2500 luteran, 1000 reformowanych, 1000 katolików, 3677 żydów. Kalwini zatem i katolicy, razem wzięci, niezbyt wiele ustępowali co do liczby luteranom. Już więc na podstawie danych wyznaniowych nie można uznać Leszna w owych czasach za miasto czysto niemieckie, raczej żydowsko-niemiecko-polskie.

Posła Buchholtza tendencyjne, a podróżnika Kauscha [2]) powierzchowne twierdzenie, iż Poznań przy upadku Rzeczypospolitej był w większości niemieckim, powtórzone zostało skwapliwie przez późniejszych niemieckich pisarzy. Przeczy mu Warschauer [3]), zniewolony do tego oczywistym faktem, jakim są dane wyznaniowe z owego czasu. Pomijając żydów, od których mało tylko miast, raczej miasteczek, w Polsce było wolnych i którzy w Poznaniu ani stosunkowo tak liczni, ani tak wpływowi nie byli jak w Lesznie, była stolica Wielkopolski bezsprzecznie miastem polskiem, czysto polski miała charakter i rządy. Nawet wśród kupiectwa poznańskiego pod koniec Rzeczypospolitej wiele znajdujemy nazwisk czysto polskich [4]), nadto było dużo niewątpliwych Polaków cudzoziemskiego pochodzenia, niemieckiego, angielskiego, szkockiego, nierzadko wyznania protestanckiego (Anglicy i Szkoci osiedli w Poznaniu już w XV. i XVI. wieku, w XVIII. wieku spotykamy ich potomków wśród wybitnych polskich rodzin mieszczańskich [5]). Luteran było w Poznaniu w 1793 r. 1918 na 7437 katolików (nie licząc półtora tysiąca katolików na paru przedmie-

---

[1]) Po 1815 r. w gimnazyum leszczyńskiem, choć połączonem ze szkołą luterską, język polski, początkowo nawet i historya polska, szczególnie były pielęgnowane. Uczęszczało do gimnazyum dużo młodzieży polskiej, ale i niemieckie mieszczaństwo kazało uczyć swych synów po polsku. Z Leszna wyszło wznowienie polskiego peryodycznego piśmiennictwa w Poznańskiem.

[2]) Ksaw. Liske, „Cudzoziemcy w Polsce“ 1876.

[3]) „*Städtewesen*“. Prümers „*Das Jahr 1793*“.

[4]) Akta Komisyi Skarbu Koronnego. Korzon, „Wewnętrzne Dzieje Polski“, T. II.

[5]) Forbes, Fergusson, Sztuart, Klugh etc.

ściach), 115 kalwinów i 47 greków [1]). Mimo jednak dość pokaźnej liczby członków, zbór luterański tak był słabym, iż nie mógł się zdobyć na dostateczne uposażenie rektora szkoły (założonej w 1783 roku). Był zresztą rektor obowiązany umieć po polsku i módz nauczać języka polskiego. Gdy w 1791 r. wybrano w Poznaniu pierwszych od 1620 r. urzędników miejskich dysydentów, dostąpili wyboru jeden luteranin i jeden kalwin [2]), mimo że liczba reformowanych znikoma była w porównaniu z luteranami. Słabość stanowiska tych ostatnich wynikała głównie stąd, iż przeważnie byli oni w Poznaniu świeżymi przybyszami. Od zburzenia kościoła i szkoły luterskiej w 1616 r. poczyna się upadek poznańskiego zboru ewangelickiego i wychodźtwo protestantów. Zakaz osiedlania się ich w stolicy wielkopolskiej trwał od pierwszych dziesięcioleci XVII. wieku do czasów Stanisława Augusta, mniej lub więcej surowo przestrzegany. Dopiero w drugiej połowie XVIII. wieku napływają luteranie do Poznania w większych liczbach, ale głównie z miast wielkopolskich, z Torunia i Gdańska, także ze Śląska, w małej zaś tylko części z krajów niemieckich, Saksonii i Brandenburgii [3]). Przybysze ci więc nie byli bynajmniej ludnością czysto niemiecką, ale już najczęściej w silniejszym lub słabszym stopniu spolonizowaną, w niektórych wypadkach polskiego nawet pochodzenia. Skoro zaś w Poznaniu luteranie stanowili w 1793 roku 20% ogółu chrześcian, to ludność naprawdę niemiecka, o ile zwłaszcza uwzględnimy przedmieścia, niewiele ponad 10% wynosić mogła (katolickie rodziny o niemieckich nazwiskach sami niemieccy pisarze uznają za polskie w owym czasie). Inny już był charakter Poznania w 1800 r. Od 1793 do 1800 r. przybyło ludności chrześcijańskiej (według cyfr Sirisy i Holschego) 4805 dusz (50%), z czego ogromną większość stanowiła ludność

---

[1]) Anonym (Sirisa) *„Polen zur Zeit der zwei letzten Theilungen... 1807"*.

[2]) Łukaszewicz, „Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania", Poznań 1838.

[3]) Er. Schmidt oblicza, iż od 1700 do 1793 r. osiadło w Poznaniu 950 nowych rodzin mieszczańskich, protestanckich i katolickich, o rzekomo niemieckich nazwiskach, sam jednak podaje w wątpliwość, czy i narodowość ich była niemiecka *(„ob sie sich als Deutsche fühlten, ist eine andere Frage", Geschichte des Deutschtums im Lande Posen).* Mniej więcej połowa owych rodzin przybyła do Poznania z miast wielkopolskich, 140 z Gdańska i Torunia, ze Śląska około 100, 50 z Brandenburgii i tyleż z Saksonii

czysto niemiecka: urzędnicza, rzemieślnicza i in. Dawniej osiedli protestanci pod wpływem rządów pruskich nader szybko przypominać sobie poczęli pierwotną swą niemiecką narodowość. Gdy nadto policzymy wojsko, które wraz z rodzinami wojskowych wynosiło w 1800 r. 3655 głów i wspomnimy bezwzględność, z jaką do zarządu miasta wprowadzony został język niemiecki, urzędnicy i nawet słudzy niemieccy, okaże się, iż w 7 lat po zaborze stolicę Wielkopolski można już było nazwać miastem, jeżeli nie w większości, to na wpół niemieckiem.

Żywioł obcy reprezentowany był silnie w miastach departamentu poznańskiego nietylko przez Niemców, ale i przez żydów. W 1793 r. ze znaczniejszych miast najwięcej żydów miały: Leszno 44% ogółu ludności, Grodzisk 47% i Swarzędz (54% w 1800 r,); w Rogoźnie było żydów 35%, w Międzyrzeczu 28% (1800 r.). Skwierzynie 30% (1800 r.), Krotoszynie 41·5% (1800 r.). Także sporo mniejszych miast znaczny miało procent ludności żydowskiej, a więc Kurnik 42%, Borek 34%, Murowana Goślina 32%, Wolsztyn 39%, Obrzycko 30%, Wronki 35%, Witkowo 39%, Skoki 40%, Szamotuły 42%, Oborniki 43% (dane z 1793 r. tylko dla trzech pierwszych miast, dla reszty z 1800 r,). Mało stosunkowo było żydów we Wschowie: niespełna 10% w 1793 roku, jeszcze mniej w Bojanowie i Zdunach, niewiele więcej w Szmiglu i Rawiczu. Ale w zamian miały te miasta dużo żywiołu niemieckjego, lub nawpół niemieckiego. W Poznaniu stanowili żydzi w 1793 r. 25% ogólnej ludności, w Gnieźnie 23% w 1800 roku, w Koźminie 20% (1793 r.). Poznań, Gniezno, Koźmin, to były najbardziej polskie i katolickie miasta w części Wielkopolski, z której utworzyły Prusy departament poznański (w granicach z 1796 r.). Był nadto szereg miasteczek — poniżej 1500 mieszkańców mających — w których w chwili zaboru ani protestantów ani żydów nie było, lub tylko znikome ich znajdowały się liczby, a więc [1]): Bnin, Buk, Dobrzyca, Dolsk, Dupin, Gostyń, Janowiec, Kazimierz, Klecko, Kościan, Krobia, Krzywin, Łekno, Łopienno, Mielżyn, Mieścisko, Moszyn, Opalenica, Pogorzela, Powidz, Przemęt, Pszczew, Środa, Stęszew, Święciechowa, Trzemeszno, Wągrowiec, Wielichowo, Żerniki. Także kilka mniejszych

---

[1]) Wymieniamy tylko miasta, które należą dzisiaj do Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

miast o znaczniejszym udziale protestantów wolnych było zupełnie, lub niemal zupełnie, od elementu żydowskiego: Poniec, Babimost, Kargowa, Nowy Tomyśl, Rostarzewo, Sarnowa, Zaborowo i Górka Miejska. Kobylin i Szlichtyngowa miały żydów stosunkowo niewiele, poniżej 20%.

Naogół liczba żydów w miastach departamentu poznańskiego nie dosięgała w 1793 r. liczby protestantów. Gdy tych ostatnich, według powyższych naszych obliczeń, było około 45 tysięcy, żydów mało co ponad 30 tysięcy przyjąć można (w 1800 r. było ich 34.811). Jedni i drudzy, razem wzięci, stanowili trochę więcej, niż połowę całej ludności miejskiej, nie dosięgającej 150 tysięcy (w 1793 r,). Katolicka ludność była więc w mniejszości [1]), Polacy wszakże, których, jak wiemy, szukać także należy między protestantami, przewyższali z pewnością liczbą, aczkolwiek niewiele, ludność niemiecką i żydowską. Mówiliśmy już też [2]), jako zatrzymanie przez część napływowej ludności niemieckich cech, języka i zwyczajów, nie było identycznem z przechowaniem odrębnego poczucia narodowo-politycznego, które przeważnie ustąpiło miejsca patryotyzmowi polskiemu, mianowicie w drugiej połowie panowania Stanisława Augusta, w dobie reform i odrodzenia narodowego i ekonomicznego Polski, niemniej w tragicznych chwilach następnego jej politycznego upadku.

Bądź co bądź stosunki narodowościowe w miastach rozpatrywanej przez nas obecnie części Wielkopolski, podobnie jak w części północnej, zabranej już przy pierwszym podziale Rzeczypospolitej, przedstawialy się w chwili przechodzenia kraju pod pruskie rządy wielce niekorzystnie; tembardziej, iż polskiemi były najczęściej miasteczka małe, rolnicze, a przemysłem, handlem, w wielu miejscach i rękodziełem, zawładnął przeważnie żywioł obcy. Ludność miejska wszakże stanowiła tylko trochę więcej jak $^1/_4$ ogólnej ludności na obszarze, nazwanym departamentem poznańskim. Zaś wśród ludności wiejskiej, obcy żywioł naogół był zgoła znikomy. Żydów na wsi było w 1800 r. 1768, w 1793 r.

---

[1]) W 1800 roku ludność cywilna w miastach departamentu poznańskiego wynosiła 164.441 dusz (Holsche); odliczyć należy napływ (od 1793 do 1800 r.), wynoszący ponad 10.000 dusz (urzędnicy, rzemieślnicy etc.), oraz przyrost naturalny ludności w odnośnym międzyczasie; uwzględnić też należy straty i wychodźtwo polskiej ludności po 1793 r.

[2]) „Rok Polski“ 1916, Nr. 6, str. 72—74.

mniej więcej tyleż [1]), protestantów w tymże roku niewiele ponad 30 tysięcy, t. j. 8% całej ówczesnej ludności wiejskiej, Niemców od 6 do 7% conajwyżej — wśród protestantów wiejskich znajdowało się bowiem sporo ludności śląsko-polskiego pochodzenia, oraz spolszczonej ludności pochodzenia czesko-morawskiego i niemieckiego [2]). Niemców zaś katolików tak na wsi, jak po miastach, nie było prawie wcale, z wyjątkiem niektórych nadgranicznych okolic, gdzie byli oni cokolwiek liczniejsi, a pochodzili jeszcze z osadnictwa średniowiecznego (w posiadłościach klasztorów paradyzkiego i bledzewskiego [3]); t. zw. Bambrzy pod Poznaniem spolszczyli się zupełnie bardzo prędko, podobnie i inni katoliccy przybysze z Niemiec, co stwierdzają z ubolewaniem niemieccy pisarze) [4]). Wieś na obszarze departamentu poznańskiego przedstawiała się zatem pod względem narodowościowym w chwili zaboru o wiele lepiej, aniżeli w t. zw. „powiecie nad Notecią“ [5]).

W poznańskim departamencie i obszar wsi protestanckich i osady poszczególnych gospodarzy były naogół szczupłe, tak iż na rodzinę, wliczywszy chałupników i wyrobników wiejskich (tkaczy), przeciętnie conajwyżej jedną włókę magdeburską liczyć można. Głów rodzin wśród wiejskiej ludności protestanckiej wypada maksymalnie 7½ do 8 tysięcy (w 1793 r.), przypadającej zaś na nie ziemi około 8 tysięcy włók magdeburskich, a niespełna 3% całej powierzchni departamentu poznańskiego (która wynosiła blisko 285 tysięcy magdeburskich włók). Posiadłość niemiecka zatem około 2·5% wynosić mogła i aczkolwiek stosunek ten, o ile by uwzględnić tylko grunta orne i łąki [6]), wypadał dla niemieckości korzystniej, to w każdym razie czysto polskiego charakteru wsi wielkopolskiej zamącić naogół nie był w stanie. Wprawdzie też wiejska ludność niemiecka i wogóle protestancka była ludnością prawie powszechnie wolną i należała przeważnie do uprzywilejowanych kategoryi (sołtysi, okupnicy, czynszownicy, młynarze), jednak jej posiadanie własnością pełną nie było, a na-

---

[1]) Rząd pruski starał się żydów ze wsi usuwać, ale ze słabym skutkiem.

[2]) „Rok Polski“ 1916, Nr. 7, str. 70—74.

[3]) W dzisiejszych powiatach międzyrzeckim i skwierzyńskim.

[4]) „Rok Polski“ 1916, Nr. 6, str. 67, 68.

[5]) „Rok Polski“ 1916, Nr. 10, str. 81.

[6]) Ogólna przestrzeń gruntów ornych i łąk w departamencie poznańskim jest nam nieznana.

wet prawa emfiteutyczne czasowe, rzadziej wieczyste, w XVIII. wieku silnie zachwiane zostały, ciężary zaś podwyższone, częstokroć z narzuceniem dotkliwszych lub lżejszych robocizn [1]). Dopiero rząd pruski, dążąc bez zwłoki tą samą drogą do tegoż celu, co w kraju nadnoteckim, liczne procesy, nieraz niesłusznie panom wytaczane, rozstrzygając z zasady na korzyść „holendrów", utwierdził ich posiadanie gruntowe i dobrobyt, nadał lub zwrócił prawa wieczyste, obniżył obowiązki, często z oczywistem a dotkliwem pokrzywdzeniem dominiów.

Cała ludność na obszarze departamentu poznańskiego (w granicach oznaczonych w 1796 r.) w chwili zaboru wykazywała pod względem narodowościowym następujący procentowy stosunek:

Polacy	Niemcy	Żydzi
82%	12%	6%.

W północnej części Wielkopolski, oderwanej już przy pierwszym podziale Rzeczypospolitej, stosunki, jak widzieliśmy [2]), były gorsze. Na obszarze zaś powiatu nad Notecią i departamentu poznańskiego razem wziętych, w ostatnich czasach przynależności do Rzeczypospolitej, Niemców wypada około 15%, żydów niespełna 6%, Polacy zatem stanowili $^4/_5$ ludności. Stosunek ten bez zmiany można przyjąć dla obszaru, z którego utworzone zostało później Wielkie Księstwo Poznańskie; wprawdzie bowiem znaczna liczba niemieckiej ludności skupiona była właśnie w tym północno-zachodnim kącie Wielkopolski („powiatu nad Notecią"), który nie wszedł w skład Księstwa Poznańskiego [3]) (obecne powiaty wałecki i złotowski Prus Zachodnich), ale w zamian północno-wschodnia część departamentu poznańskiego (powiaty: brzeski, radziejowski, kowalski, większa część pyzdrskiego), gdzie Niemców było procentowo mniej, niż naogół w całym departamencie, należy od 1815 r. do Królestwa Polskiego. W części zaś departamentu kaliskiego, która włączona została do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i tworzy obecnie powiaty: kępiński, ostrzeszowski, odolanowski, ostrowski, pleszewski — protestantów było wprawdzie je-

[1]) Obszerniej o „holendrach" i innej wiejskiej ludności protestanckiej w „Roku Polskim" 1916, Nr. 10, str. 82 i nast., 1917, Nr. 1, str. 65 i nast.

[2]) „Rok Polski" 1917, Nr. 1, str. 78.

[3]) „Rok Polski" 1917, Nr. 1, str. 73 - 75.

szcze za Rzeczypospolitej stosunkowo dużo, ale była to przeważnie ludność polska, która napłynęła z czysto polskich sąsiednich okolic Śląska [1]). W tym południowo-wschodnim kącie Księstwa Poznańskiego i w przylegających północno-wschodnich okolicach Śląska, dotychczas znajdują się znaczniejsze liczby Polaków protestantów [2]).

Według urzędowego spisu z 1910 r. w Wielkiem Księstwie Poznańskiem ludność polska wynosiła 61·46% (wraz z mówiącymi po polsku i niemiecku, których wykazał spis tylko 0·56%)‘ zatem od zaborów spadła z $^4/_5$ na $^3/_5$ ogólnej ludności; ludność niemiecka (z resztką żydów, którzy z 6% spadli na 1·26%, a przyznali się przy spisie prawie powszechnie do narodowości niemiemieckiej) wzrosła z 15% na 38·42%.

Rezultat taki rządów pruskich na ziemi wielkopolskiej świadczy o skuteczności polityki, której początkowe drogi i rychło osiągnięte owoce poznaliśmy dość dokładnie. Ale niewątpliwie sukces pruskiego systemu nie byłby tak znacznym, tak łatwo i prędko w pierwszych zwłaszcza czasach po zaborach osiągniętym, gdyby podstawy dla germanizacyi Wielkopolski nie istniały już przy podziałach Rzeczypospolitej. Na pograniczach, w zupełnie niemal zniemczonych dzisiaj okolicach, wiele było żywiołu niemieckiego jeszcze za rządów polskich; także w głębi kraju — jak widzieliśmy — były placówki niemieckie po miastach, mniej lub więcej silne, na wsi osady „holendrów“. Zaś ten stan rzeczy wytworzony został w ciągu dwóch ostatnich wieków istnienia polskiego państwa, w XVI. bowiem wieku niemczyzny w Wielkopolsce nie było naogół prawie wcale [3]), gdzie zaś trwały jej resztki, blizką zapowiadała się chwila ich zaniku.

---

[1]) W Odolanowie, Ostrowie, Kępnie, za Stanisława Augusta wygłaszane były dla protestantów kazania po polsku. W Kępnie w XVII. wieku był zbór polski i niemiecki. Utraciwszy kościół w 1718 r., ludność ewangelicka chodziła na Śląsk, do Sycowa, gdzie były nabożeństwa polskie. W 1779 r. przy poświęceniu nowego kościoła w Kępnie, pierwsze kazanie wygłosił kaznodzieja z Sycowa (Sassadius) po polsku, drugie pastor z Byczyny po niemiecku (Anonym Sirisa — *„Polen zur Zeit der zwei letzten Theilungen... 1807.* Pietsch P. *„Beiträge zur Geschichte der Stadt Kempen in Posen“. IV. Theil. Geschichte der evangelischen Gemeinde II).*

[2]) „Rok Polski“ 1916, Nr. 7, str. 79.

[3]) „Rok Polski“ 1916, Nr. 6, str. 67–69.

Fakt tak doniosły w swych zgubnych dla narodu polskiego następstwach, jak osadnictwo ewangelicko-niemieckie w Wielkopolsce, szczególniej liczne już w czasach rosnącej nietolerancyi religijnej, nad którą interes materyalny szlachty okazał się silniejszym, ściąganie przez żarliwych nieraz katolików do miast, do wsi, Niemców-protestantów, nadawanie im gospodarczych przywilejów, które niszczyły dobrobyt katolickiego polskiego mieszczaństwa, tworzenie wolnego, zamożnego, oświeconego [1]) niemieckiego stanu chłopskiego w tych samych złowróżbnych czasach, gdy włościanin polski na dno nędzy i ciemnoty był spychany, stwarzanie przez Polskę dobrowolne, i jakby umyślne, silnych przednich straży dla zachodniego sąsiada, którego pożądliwość, chytrość, wiarołomstwo i wzrastająca moc już w XVII. wieku nadto były widoczne — wszystko to, tak znamienne dla oceny myśli narodowo-politycznej w ówczesnej Polsce, winno by zająć naszych historyków (przez niemieckich jest szeroko i z lubością traktowane). Nam się zdaje, iż podłoża dla objawów powyższych szukać należy przedewszystkiem w dominującem ciążeniu Polski ku wschodowi, we wpływie, jaki litewsko-ruskie obszary wywarły na szczuplejsze ziemie rdzennie polskie. Parowiekowa silna emigracya na wschód ludu polskiego — i to najbardziej przedsiębiorczych jednostek — wytwarzała pustkę, którą trzeba było zapełniać, osłabiała odporność organizmu narodowego, gdy przyszły czasy ciężkich wojen i towarzyszących im klęsk. Dotknięta wyludnieniem wsi szlachta radziła sobie, przywiązując chłopa do ziemi, zaostrzając poddaństwo, zwiększając robocizny, a gdzie po temu łatwiejsza była sposobność, chętnie przyjmując, a nawet ściągając niemieckich protestanckich kolonistów. Przez ciężkie poddaństwo obniżona wartość gospodarczo-kulturalna polskiego włościanina czyniła go później bodaj nawet niezdatnym narazie do przechodzenia na czynsze i do lepszej gospodarki, kto więc chciał postępu, sprowadzał Niemców. Miasta, pozbawione dopływu polskiej ludności ze wsi, zapełniły się Niemcami i żydami, to zaś coraz większe ściągało na nie poniżenie społeczno-polityczne. Gdyby szlachta polska nie ciągnęła była na wschód, zapełniać chorągwie i dwory „królewiąt“, dzierżawić ziemię, brać ją na czynsze, sycić się „chle-

[1]) Przypominamy, iż we wsiach protestanckich był prawie zawsze nauczyciel, za zezwoleniem, a często i materyalnem przyłożeniem się pana.

bem dobrze zasłużonych“ w rozległych królewszczyznach i ginąć od noża hajdamaków, szabli tureckiej lub na arkanie tatarskim — cóż stałoby się z licznymi synami licznego polskiego szlacheckiego narodu, zwłaszcza szlachty uboższej, zagrodowej? Musieliby iść do miast, do szkół, urzędów, do wojska i na dwór królewski. Stan szlachecki we własnym interesie nie żądałby poniżenia miast, w których środków do życia szukaliby szlacheccy synowie. Rozwój społeczno-polityczny i gospodarczy w Polsce szedłby zapewne drogą utorowaną i wskazaną przez ostatnich Piastów, a która przez związek z Litwą, co skruszył moc krzyżacką i oddał Polsce część Pomorza, zdawała się pozbawioną najgroźniejszych pr szkód. Niestety w pomyślności krył się zarodek zła, którego zniszczyć, ominąć, a nawet dojrzeć nie potrafiliśmy. Prócz spuścizny błędów politycznych, które przyniosły rozbiory i niewolę, cierpimy skutki grzechów narodowościowych, trudniejszych jeszcze do odkupienia!

Z. Kirkor.

Notatki.

Rokowania brzeskie dostarczają sposobności do tego, by biorące w nich udział państwa określiły dokładniej swoje cele wojenne. Przyjętą teoretycznie zasadę bez aneksyi i odszkodowań wykręca się na wszystkie strony, by pod jej płaszczem przemycić bardzo wyraźne zamiary zdobywcze. I odrazu nabrała aktualności sprawa sprostowania granic kosztem Królestwa Kongresowego i Litwy. Czynniki, które mają stanowczy wpływ w kierownictwie wojskowem niemieckiem, nie kryją się z tymi zamiarami. Liberalna opozycya podnosi przeciw temu słabe protesty. Tak np. pisze T. Wolff w „*Berliner Tageblatt*“ z dnia 10. stycznia, omawiając plany aneksyonistów: „Gdyby tu chodziło nie o t. zw. sprostowanie granicy, lecz o większy obszar, to mielibyśmy tu do czynienia z nowym podziałem Polski“. T. Wolff występuje przeciw tym planom, obawiając się nowych walk narodowych, wynikających z przyrostu polskiego żywiołu pod panowaniem pruskiem. Ale jak wyraźnie wynika z jego słów, na stanowczy opór jego nie napotyka „*eine sogenannte Grenzberichtigung*“. A więc między skrajnie liberalnym kierunkiem, reprezentowanym przez „*Berliner Tageblatt*“, a prasą wszechniemiecką, jest tylko ilościowa różnica. Jedni chcą wziąść więcej, drudzy mniej, ale wszyscy chcą brać. Pokazuje się, że akty z 5. listopada i 12. września były czemś, przeznaczonem tylko dla nas, Niemców one nie wiążą. Coraz częściej mówi się też, że lepiej jest po „sprostowaniu granic“ resztę oddać Rosyi.

Ale czemuż mamy się dziwić Niemcom? Działają oni we własnym interesie narodowym. Co do ich stanowiska, nie było powodów do złudzeń. Natomiast dziwić się można naszemu obozowi aktywistycznemu. Rzucił on kamieniem obrazy na tych, którzy nie chcieli widzieć najpierw w akcie z 5. listopada, następnie w akcie

z 12. września pełnej realizacyi naszych dążeń narodowych. Czy ci ludzie jednak stanęli mocno na gruncie tych aktów, czy nadali im tłómaczenie, zgodne z naszym interesem narodowym? Pierwszy z tych aktów zapowiadał utworzenie samodzielnego państwa polskiego z ziem wydartych Rosyi. Ludzie, którzy stanęli na gruncie tego aktu, pojęli go w ten sposób, że Królestwo Kongresowe będzie tylko ośrodkiem budowy nowego państwa, że jego granice, zwłaszcza na wschód, zostaną głęboko przesunięte. Jakie wyniki przyniosła dotychczasowa praca aktywistów pod względem terytoryalnym? Czy doprowadziła do tymczasowego choćby ustalenia granic państwa polskiego? Jeżeli tak, to tylko z wynikiem negatywnym, tylko kosztem skromnego rozmiarami Królestwa Kongresowego. Najpierw odcięto dawną gubernię suwalską. Czyśmy słyszeli choć jeden głos protestu przeciwko temu faktowi, czy aktywiści okazali się aktywnymi w obronie granic Królestwa, bądź co bądź tworu, który powstał na drodze międzynarodowego układu i z którego krajaniem nigdy nie pogodziła się opinia polska? A tymczasem ten fakt przyjęto, jako coś zupełnie naturalnego. Działalność nowych władz Królestwa Kongresowego nie rozciąga się na Chełmszczyznę — i ten fakt przyjmuje się w pokornem milczeniu. Mówi się głośno obecnie o prostowaniu granicy Królestwa, o linii Narwi, o zabraniu urodzajnych ziem kaliskich, o wydzieleniu Zagłębia. Dyskutuje się nad tem zupełnie otwarcie w prasie niemieckiej wtedy, gdy bawią w Berlinie politycy z Królestwa Kongresowego. Nie zbija to z tropu panów Kucharzewskiego i hr. Roztworowskiego, którzy są zachwyceni przyjęciem ich w Berlinie, niezwykle sympatycznem i uprzejmem.

Żyjemy w epoce, w której na wschodzie różne narodowości, mniej od nas kulturalne, pozbawione historycznych tradycyi, dobijają się uznania swoich praw narodowych. Objawiają przytem wiele zarozumiałości, brutalności, mógłby nawet ktoś powiedzieć, zego wychowania. Ale to dotyczy tylko formy zewnętrznej ich działań. O ile chodzi o ich treść, to w mocnem wołaniu o to, by uznano ich byt, odporności na próby ograniczenia jego rozwoju, jest o wiele więcej poczucia godności narodowej, aniżeli w niektórych występach naszych prawdziwych książąt i fałszywych hrabiów. Te młode i niedojrzałe społeczeństwa rozumieją, że nie wszystko można zmienić na monetę kompromisu, że dla konkretnych celów politycznych nie wolno mówić rzeczy, które są sprze-

czne z uczuciami narodu. A przedewszystkiem nie wolno milcząco przyzwalać na okrawanie granic Polski. Są sytuacye, w których wszełka polityka ugodowa traci racyę bytu, w których jej przedstawiciele narodowi pożytku nie przyniosą, lecz przez potomność zostaną nazwani „Pomniejszycielami Polski“!

*
* *

W pierwszym okresie wojny, obok wyraźnych tendencyi, sam fakt walki między trzema państwami rozbiorczemi przyczynił się do uzewnętrznienia różnych nastrojów, na których tu i ówdzie w Polsce chciano budować trwałe programy polityczne, znane pod dobrze zapisaną w pamięci nazwą „oryentacyi“. Rozróżniano tedy chętnie „przyjaciół i wrogów“, a z czasem zastąpiono ów podział nową klasyfikacyą, gdzie figurował „największy wróg“, a także i „największy przyjaciel“. Ten „trzeci“ znalazł się gdzieś w pośrodku. Wszystko, to, jak i wszelkie, związane ze zmianami horyzontów politycznych, zmiany słowne, napotykają dziś na nowy szkopuł. Dobrze to było kiedyś z definicyami wrogów i przyjaciół, gdy oni sami stali naprzeciw siebie z bronią gotową do strzału, porzuciwszy związki tradycyonalnej łączności. Trudniej zaiste dzisiaj przeprowadzać jakieś podziały wobec odżycia starego braterstwa na długim froncie ziem Rzeczypospolitej. Dziś, jakiekolwiek zajść jeszcze mogą wypadki na drodze do zgody w Brześciu Litewskim, niewątpliwem pozostaje przedewszystkiem to jedno, że trzy interesowane państwa, każde za pośrednictwem przedstawicielstwa, na jakie je stać — dążą do ponownego współżycia. Zawiodło wprawdzie oczekiwanie, iż dobry przykład pociągnie za sobą resztę świata; owszem koalicya i Stany Zjednoczone proklamują dalszą bezwzględną wojnę. Nimo to państwa centralne konferują nie tylko wyłącznie z Rosyą. Przy stole konferencyjnym zasiadają już obok pp. Trockich, Kamieniewów i Radków, względnie Bornsteinów, Rosenfeldów i Zobelsohnów także i jednonazwiskowi pełnomocnicy nowej republiki ukraińskiej, a nawet pono reprezentanci perskiego parlamentu. Kto wie, czy w niedługim terminie nie przybędą jeszcze z kolei inne misye pokojowe szeregu walczących między sobą republik terytoryum rosyjskiego, posiadających nieuregulowane jeszcze stosunki z państwami środka. Liczebnie konferencye brzeskie mogą zatem jeszcze zyskać na rozmia-

rach. Ale pominąwszy widoki samych konferencyi i ich treść wewnętrzną, a zatrzymując się tylko przy stanowisku ich w sprawie polskiej, widzimy, że jakkolwiek na trzy różne sposoby Petersburg, Berlin i Wiedeń zwracają się z sympatyami ku Polsce, zdradzają naogół duże w tym kierunku zainteresowanie. Jest też już prawie zapewnione, że w obradach jako fachowi eksperci rządów okupacyjnych wezmą udział i Polacy, grupujący się koło stworzonego w Królestwie Kongresowem ministeryum. Los chciał, że w stoczterdzieści lat po pierwszym rozbiorze, nad nową, inną znów dolą Polski, obradują trzej ci sami udziałowcy.

Nie przesądzając w szczegółach dalszego rozwoju wypadków, przyjąć można, iż pokój między trzema zwaśnionymi sąsiadami gotów zaistnieć. Jeżeli zaś z faktu tego świat walczący wyciągnie zapowiadane konsekwencye, staniemy w obliczu nowego, dla nas niesłuchanie ważnego zjawiska. Obok Niemiec i Austro-Węgier walczący świat gotów i Rosyę zaliczyć do państw sobie wrogich.

*
* *

W powodzi rewolucyi i wśród ścierania się prądów polskich po tamtej stronie frontu, gdy warunki zewnętrzne jak najmniej zda się sprzyjały tego rodzaju przedsięwzięciom, gdy panujący chaos i bolszewizm zagrażał pozostałemu tam społeczeństwu polskiemu utonięciem w otchłani szerokiej natury rosyjskiej, dokonała się rzecz pierwszorzędnego dla nas znaczenia. Dowiedzieliśmy się oto o istnieniu poważnej liczbą armii polskiej gen. Muśnickiego. O ile poprzednie fakty samozwańczych i zresztą niepomyślnych poczynań w guście tworzenia legionów przy wojsku rosyjskiem nie miały naogół znaczniejszego powodzenia i mogły się co najwyżej pochwalić tylko stwierdzającymi brawurę polskiego żołnierza epizodami, to dziś, jak dochodzą wieści, korpus polski wynosi 150 tysięcy, a postawą w ciągu ostatnich miesięcy stwierdził niezależność swoją od wpływów rewolucyi i wogóle niepolskich czynników. Jeśli jest prawdą chociażby to, co przychodzi do nas z za kordonu wojsk w homeopatycznych dawkach informacyi dziennikarskich, jeśli mimo kontragitacyi skrajnych kół polskich, sympatyzujących z bolszewizmem, napływ żołnierzy-Polaków do armii gen. Muśnickiego przybrał cechy żywiołowego ruchu, to przyjąć można, że będzie to naprawdę armia narodowa w pełnem znaczeniu tego słowa, a nie partyjna improwizacya stworzona w nieokre-

ślonych celach. Jeśli dalej, wobec znanego w państwach obcych wogóle, a u ostatnich oficyalnych sfer petersburskich także nieobojętnego stanowiska wobec sprawy polskiej, armia ta może istnieć, róść w siły i wymódz dla siebie szacunek należny samoistnej sile zbrojnej, to są to niepoślednie zadatki, świadczące o organizacyjnej i moralnej wartości wojsk polskich i ich kierownictwa. Narażony na tysiączne wpływy rozkładowe duch polski z próby obecnej wyszedł tam zwycięsko, wobec nieładu organizując ład, wobec grasujących band grabieżczych tworząc karne szeregi. Łącząc zaś w sobie wszystkie warstwy bez różnicy stanów, występować może wobec całej Polski jako wyraz szczerego, niezależnego polskiego uczucia i rozumu. Niebezpieczeństw wprawdzie jeszcze nie pokonał i trudno dziś przewidzieć, z jakiemi przyjdzie mu także walczyć w przyszłości i czy sprosta swemu zadaniu — ale dotychczas wiadome wyniki takiego wprowadzenia w czyn programu samostanowienia narodowego, pozwalają mu być godnym wzorem i silnem uzasadnieniem naszego optymizmu w lepszą przyszłość.

W sprawie prenumeraty.

Z powodu ogólnego zwiększenia kosztów wydawnictwa, administracya zmuszona jest w roku przyszłym podnieść nieznacznie prenumeratę:

roczną na . . . . . . 24 koron
półroczną na . . . . 12 „

Cena numeru pojedynczego w sprzedaży księgarskiej wynosić będzie 2 kor. 50 hal.

Prenumeratorów, którzy uiścili prenumeratę za rok 1918 wedle dawnej ceny, prosimy o wyrównanie pocztą różnicy w przedpłacie.